

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 5 września 1948 r.

Nr 36 (145)

TRESC NUMERU: M. Markowski — Warszawski wrzesień; J. Dobraczyński — Po co chodzić do kościoła; S. Kisielewski — Impresje spod Babiej Góry; A. Staronka — Nauka katolicka; Przegląd prasy brytyjskiej; W. Majdański — Dziwne tabletki Tydzień kulturalny; W. Pietrzak — Lot Jaskółek; Czytelnik uważa, że...

Zygmunt Wasilewski

# O TWORZENIU KULTURY

Człowiek jest wszędzie ten sam, wszystko, co wytwarza, jest jego twórczością, świat bowiem ludzki, dany mu do ciągłego tworzenia, nie jest dziełem tylko indywidualnej genialności. Zagadnienia kultury idą za nim, cokolwiek robi, czymkolwiek jest.

—Dzieli się one z grubsza na pięć grup:

a) sprawy życia wewnętrznego z obowiązkami człowieka wobec Boga i siebie samego, a więc jest tu miejsce na kulturę ducha religijnego i etycznego, uczuć, sumienia, charakteru, obyczaju i honoru;

b) kultura spraw duchowych, związanych z działaniem, a więc kultura woli, wytrzymałości, męstwa i celowości rozumnej walki i pracy we wszystkich dziedzinach — w polityce, pracy społecznej, w gospodarstwie, w zawodach. Tutaj cały stosunek do społeczeństwa, wymagający wielkiej uprawy wszystkich władz ducha i charakteru;

c) kultura pracy umysłowej poznawczej we wszystkich dyscyplinach nauki, kultura pracy filozoficznej i literackiej;

d) jako osobny dział wydzielić by należało sprawy wychowania młodych pokoleń, gdzie wszystkie poprzednio wymienione widoki kultury się powtarzają w zastosowaniu do zadań edukacji i wychowania.

Z tej całości nie można wrywać fragmentów, jako wyłącznych dziedzin kultury, a to z dwu przyczyn: 1) w życiu psychicznym rządzi prawo integralności organicznej (wszystko we wszystkim). Nie będzie do bryz sztuki, jeśli artysta nie zasilił swych talentów (d) kulturą duchową (a) i umysłową (c) oraz kulturą pracy rzetelnej (b), decydującym zaś w tej sprawie jest fakt, że dusza jednostki jest wytworem społeczeństwa, gdzie również wszystko wiąże się z sobą organicznie i na siebie od działywa. Nie można tworzyć harmonijnej całości ze świata ludzkiego, gdy np. śrubować będziemy wysoko poziom sztuki czy filozofii, a kulturę uczuć i pojęć obywatelskich i poziom obyczajów pozostawimy w stanie dzikości. Jeśli ideałem naszym ma być człowiek pełny i harmonijny, to nie dochowa się takiego człowieka społeczeństwo budowane w sposób niepełny i nieharmonijny. Jest to pierwszorzędne zagadnienie w dziedzinie wychowania.

Z powyższą kwestią w ścisłym po zostaje związana sprawa stylu, w jakim świat swój tworzymy. Wynalazki pierwszych odruchów życia w utrwalaniu tego życia ustalają się przez doświadczenie w drodze automatyzowania ruchów.

Każdej żyjącej z sobą grupie ludzi właściwy jest pewien rytm ru-

chów, według którego życie jej się harmonizuje. Ta zgodność i automatyczna powtarzalność wytwarza wspólne rysy stylu zarówno w kulturze duchowej jednostek jak i w rzeczach oraz stosunkach wytworzonych. W ten sposób wznaga się życie i wyrasta struktura świata danej grupy. A podciaga ją wzwyż wynalazczość geniusza indywidualnego, przejawiającego się we wszystkich dziedzinach życia. Geniusz ten dany jednostkom, od Boga, jak to uznawało zawsze poczucie powszechne, jest jako wcielenie dzieckiem stylu rodzimego, w ramach

Bolesław Kulesza

Zagadnienie oświaty winno być dla każdego świadomego obywatela tak bliskie, jak bliskie jest mu jego życie, bowiem rodzaj szkoły decyduje nie tylko o przyszłości najbliższych mu dzieci, ale i o poziomie przyszłych naszych pokoleń. Od poziomu wykształcenia, od poziomu wiedzy naszego społeczeństwa zależeć będzie rola nasza w zespole wszystkich narodów świata.

Minął rok szkolny 1947/48, kończą się wakacje, stoimy w obliczu roku szkolnego 1948/49 i jednocześnie w obliczu olbrzymiej reformy szkolnictwa ogólnokształcącego, bowiem

„z dniem 1 września 1948 r. państwowe gimnazja i licea ogólnokształcące po połączeniu z odpowiednią liczbą szkół powszechnych ulegają przekształceniu na jednolite szkoły ogólnokształcące stopnia podstawowego i licealnego, tj. obejmujące 7 klas szkoły podstawowej i 4 klasy licealne, bądź też na szkoły ogólnokształcące stopnia licealnego tj. obejmujące tylko klasy VIII — XI“ („Instrukcja Ministerstwa Oświaty z dnia 4 maja 1948 r. (Nr II P-2331/48) w sprawie organizacji roku szkolnego 1948/49 w szkolnictwie ogólnokształcącym).

Następuje całkowita przemiana systemu szkolnictwa ogólnokształcącego. Rezygnujemy przede wszystkim z 8-letniej szkoły podstawowej, rezygnujemy z systemu szkolenia opartego na systemie dwu nastoletniego szkolenia ogólnokształcącego. Uczeń z 6-jej klasy szkoły powszechnej mógł wstąpić do 4-roletniego gimnazjum, po którym otrzymywał tzw. „małą maturę“ lub kończył jeszcze 2-letnie liceum, po czym mógł wstępować na wyższą uczelnię.

W ogólnym poziomie kształcenia młodzieży otrzymamy w wyni-

tego stylu tworzy, z niego czerpie inspiracje, ten styl rozwija. Nie mógłby nic swego zbudować, gdyby nie uszanował tego, co już zbudowano, nie byłby twórcą, gdyby nie potrafił dostosować się do stylu wiekami wytworzonego. Tak trzeba rozumieć obraz poetycki Norwida o wieży prac ludzkich, z której powie wa zwycięska chorągiew geniuszu.

Jeżeli patrzymy na zagadnienie kultury ze stanowiska wysiłku, jaki podejmuje podmiot tworzenia — człowiek i jego zespół narodowy — to się rozumie jasno konieczność logicznego rozróżnienia między tą

ku tej reformy zubożenie, bowiem nie będzie 8-letniego powszechnego nauczania, a średnie też o jeden rok się skraca. W konsekwencji otrzymujemy dosyć sztywny szkielet 11-letniego kształcenia młodzieży. Odnośny punkt instrukcji głosi: „...organizacja szkół ogólnokształcących będzie następująca:

a) szkoła ogólnokształcąca — stopień podstawowy i licealny (klasy I — XI),

b) szkoła ogólnokształcąca — stopień licealny (klasy VIII—XI),

c) szkoła ogólnokształcąca — stopień podstawowy, realizująca przy jednym nauczycielu 4 klasy programowe, przy dwóch nauczycielach najwyżej 6 klas programowych, przy trzech i więcej nauczycielach 7 klas programowych“.

Zastanówmy się czy my będziemy mogli wykonać tak nakreślony plan? Przyjrzyjmy się w jakim stopniu wykonaliśmy w zakresie szkoły podstawowej nasze zamierzenia. Mamy w r. 47/8 21.720 szkół podstawowych w czym 8.461 o jednym nauczycielu, 4.959 — o dwóch, 2.422 — o trzech nauczycielach, 1.343 — o czterech. Łącznie mamy 17.185 szkół niepełnych tj. 79 proc. (patrz „Szkolnictwo w r. szk. 1947/48 w liczbach tymczasowych“). Szkoły te były szkołami I lub II stopnia. W tzw. szkołach I stopnia o 1 — 2 nauczycielach, prowadzących klasę III dwuletnią i klasę IV trzyletnią, przechodził uczniowie w ciągu 7 lat nauki zaledwie rozszerzony nieco kurs 4 letni. Podobnie w tzw. szkołach II stopnia, o 3 — 4 nauczycielach, prowadzących klasę VI dwuletnią, w ciągu 7 lat przechodzili zaledwie rozszerzony nieco kurs 6 letni. I tylko w szkołach III stopnia, o 5 lub więcej nauczycielach, prowadzących wszystkie klasy jednorocz-

nie, przechodzić mogli uczniowie w ciągu 7 lat pełny program 7 letni, względnie w ciągu 8 lat — 8 letni“ (Patrz „Przyczynki statystyczne Nr 5“ — Ministerstwo Oświaty). Reforma szkolna z 1945 r. podjęta była pod hasłem likwidacji klas dwuletnich i trzyletnich tj. szkół niepełnych i stopniowego podnoszenia ich do szkół siedmiolletnich oraz ośmioletnich i wraz z tym obowiązku szkolnego siedmiolletniego na ośmiolletni.

Naród pogański, odkąd został ochrzczony, wszedł w konstelację cywilizacji chrześcijańskiej. Ale to

Artykuł dyskusyjny

## 11 czy 12 lat nauki?

Tymczasem szkół III stopnia tj. pełnych szkół podstawowych mamy tylko 21 proc. tj. 4.535 w czym zaledwie 7 proc. ośmioklasowych i 14 proc. siedmioklasowych.

Na 3.372.724 uczniów szkół podstawowych 1.568.092 uczniów uczęszcza do szkół niepełnych, a jest to prawie połowa bo 47 proc. młodzieży uczęszczającej do szkół podstawowych.

W jaki sposób obecnie jeden nauczyciel wypełni 4 klasy programowe, dwaj 6 klas programowych, a 3-ch siedem klas programowych, może być tylko wiadomym w tajnikach Ministerstwa Oświaty, bo żaden żywy nauczyciel tej sztuki nie dokona. Wiadomo, że przez całe życie człowiek nie może być olimpijczykiem.

Nie tylko nie wykonaliśmy planu przekształcenia wszystkich szkół powszechnych na pełne szkoły podstawowe, ale mamy jeszcze 1.403 obwody bezszkolne, w których młodzież nie uczy się z powodu braku nauczyciela przy istniejącym gmachu szkolnym, bądź z braku lokalu, bądź z powodu małej liczby dzieci.

Co się tyczy szkół średnich, to „nie przewiduje się, pisze „instrukcja“ X — przekształcenia prywat-

była sprawa formalna, dopóki nie dostąpił tej łaski wewnętrznie swoją kulturą religijną. Że Prometeusz wykradł z niebios ogień na użytek kultury — to była przenośnia poetyczna; ale już, gdy mowa o elektryczności, która też była zawsze w przyrodzie, to odkrycie i wynalazki elektryfikacyjne cudze trzeba sobie przyswoić przez uprawę odpowiednich nauk. Można wejść w gospodarce rolnej w okres traktorów, ale to będzie formalność dopóki człowiek nie nabytej odpowiedzialnej kultury obchodzenia się z tym dorobkiem cywilizacji.

Artykuł dyskusyjny

nych szkół średnich ogólnokształcących na prywatne szkoły ogólnokształcące stopnia podstawowego i licealnego. Prywatne szkoły średnie mogą uzyskać zezwolenie na prowadzenie tylko klas VIII — XI szkoły ogólnokształcące przy liczbie równoległych oddziałów każdej klasy nie więcej niż 2. Zezwolenie na otwarcie takich szkół udziela Ministerstwo Oświaty“.

Na 757 szkół średnich w r. szk. 46/7, a nie o wiele inaczej przedstawia się sprawa i w r. 47/8, mieliśmy z internatami 213 szkół państwowych i 124 szkoły niepaństwowe. Udział więc prywatnych szkół wyraża się cyfrą 37 proc. Jest to poważna liczba, bowiem szkoły te mają swój majątek, urządzenia, pomoce naukowe, budynki, opłacają personel. Nie da się więc za jednym zamachem bez szkody dla ogółu społeczeństwa i młodzieży uczącej się przeprowadzić tej generalnej i nagłej zmiany.

Zresztą już w tej chwili jesteśmy świadkami takiej sytuacji na terenie gminy Warszawy. Zarząd Miejski prowadził dotychczas 6 szkół średnich ogólnokształcących i oto z dniem 31 sierpnia szkoły te już nie mają zapewnionego udziału w budżecie miejskim, a w państwowym, Ministerstwa Oświaty do dzisiaj jeszcze nie figurują. Co będzie na terenie całego kraju?

Jeszcze jedna okoliczność, która zasługuje na uwagę, to ta, że istniejące szkoły podstawowe będą „zbiorczymi“ szkołami dla tych siedmiolletnich, które pozostają nadal tylko siedmioklasowymi. Wyobraźmy sobie trzy szkoły, z których jedna jest szkołą zbiorczą. Czy uczniowie tej zbiorczej szkoły nie będą fawo-

(dokończenie na str. 8)

Dm 19102

## W świecie...

Mieczysław Markowski

## ZATARG KONSULARNY

Przed kilku tygodniami zdarzył się na terenie Stanów Zjednoczonych dość dziwny wypadek porwania przez białą - emigracyjną organizację rosyjską „Fundusz Tolstojowski” dwojga obywateli radzieckich, nauczycieli rosyjskiej szkoły w New Yorku — Kasjeniny i Samarina. Porwani zostali wyswobodzeni z rąk „Funduszowców” i przewiezieni do konsulatu radzieckiego w New Yorku. Kasjenina uległa jednak tak silnemu wstrząsowi psychicznemu, że bojąc się dalszych prześladowań — w przystępie ataku nerwowego, wyskoczyła z okna konsulatu na bruk. Poraniona — przewieziona do szpitala, gdzie straż przy niej zaciągnęła policję amerykańską, nie dopuszczając przedstawicieli konsulatu radzieckiego. W związku z tym wypadkiem ambasada radziecka w Waszyngtonie zaprotestowała przeciw metodom inwigilowania i terroryzowania obywateli radzieckich w USA, jak również przeciwko wtrągnięciu policji amerykańskiej do gmachu konsulatu generalnego ZSRR w New Yorku. Departament Stanu USA, odrzucił zarzuty radzieckie, określając je jako nieprawdziwe i oświadczył, iż Kasjenina i Samarin dobrowolnie zgłosili się do władz administracyjnych oświadczając chęć pozostania na stałe w USA; po tym oświadczeniu Samarin udał się w niewiadomym kierunku, nie zostawiwszy swego adresu, a Kasjenina wyjechała na fermę „Funduszu Tolstojewskiego”. Równocześnie Departament Stanu uznał postępowanie konsula generalnego ZSRR Łomakina za przekroczenie jego uprawnień i zażądał odwołania go z terenu USA. W odpowiedzi na to rząd ZSRR zakwestionował prawdziwość oświadczenia sprawy przez Departament Stanu i uznawszy, że konsulatory ZSRR nie mają obecnie możliwości wypełniania swych obowiązków — zdecydował się zamknąć oba konsulaty radzieckie na terenie USA — w Nowym Jorku i San Francisco, oraz zażądał, by zgodnie z zasadami wzajemności konsulaty USA we Władystoku zostały zamknięte, a konsulaty USA w Leningradzie, który miał być uruchomiony — uruchomiony nie będzie. Po tej nocy MSZ radzieckiego — personel konsularny amerykański wyjechał z Władystoku, a konsulaty radzieckie w USA uległy samoukwadacji.

## PRZECIW „NORYMBERDZE”

Ostatnio miała miejsce wymiana zdań między przedstawicielami rządu brytyjskiego a rzecznikami polskiego MSZ na temat ważności terminu prekluzyjnego na zgłaszanie wniosków o ekstradycję niemieckich zbrodniarzy wojennych w ręce polskie. Strona brytyjska, ustaliła termin ostatecznego składania takich wniosków do 1 września 1948, zaznaczając, iż po tym dniu mogą być uwzględniane tylko wnioski, domagające się wydania zbrodniarza, który w myśl kodeksu niemieckiego winien jest bezprawnego morderstwa. Tymczasem prawo niemieckie usprawiedliwia morderstwo popełnione na rozkaz władzy wyższej. Ponieważ zbrodniarze wojenni zawsze — i rzeczywiście — działali na rozkaz Hitlera lub Himmlera — praktycznie więc żadne ich morderstwo nie może być uznane za karalne. Jest to interpretacja prawna tym charakterystyczniejsza, iż jedną z podstawowych zasad t. zw. „Ustawodawstwa norymberskiego” i jednym z zasadniczych elementów kształtowania się nowoczesnego poczucia sprawiedliwości, szczególnie międzynarodowej, jest właśnie honorowanie ważności zasady, iż: rozkaz nie stwarza bezkarności. Tylko przez

Mieczysław Markowski

## Warszawski wrzesień

ALEJE i ścieżki parków okrywają się miękką, czerwono - żółtą warstwą opadających liści. Na ulicach pełno, jak w każdym chyba innym miesiącu, Przemile dryblasy i zalotne podfruwajki smarują z książkami pod pachą na pierwsze lekcje nawozaczonego roku szkolnego. W „Kopciuszku” pięknie olejkami popałane panie siwieją ze zmartwienia, że pelisy nie będą modne tej zimy.

Na ulicznych straganach z kwiatami jeszcze różę, jeszcze goździki, ale coraz częściej astry. Urlopy przemienily, jak sen jaki złoty. Zaczyna się ruch. W każdej dziedzinie: w polityce (kawiarnie), w kulturze (Szyfman już wrócił), w handlu (znikają z wystaw sklepowych umowne napisy: zamknięte — romant). Tak wygląda (mniej więcej) Warszawa we wrześniu. W przededniu pełnego sezonu. Nad nią niebo po którym płynię (coraz niżej słońce, a nierzadko już i chmury darzące „kapuśniaczkiem”).

Od wielu, wielu lat dziesiątków, może setek wrzesień uważany jest za najładniejszy miesiąc Warszawy. I tylko dwukrotnie zdarzyło się, iż te trzydzieści dni już nie letnich, a często jeszcze nie jesiennych miało dla losów miasta inne, tragiczne znaczenie.

Wrzesień 1939. Dzień pierwszy: Niemcy przekroczyli granicę Polski. Między 9-tą a 10-tą rano wiadomość ta otrzymuje konkretniejsze już potwierdzenie w postaci pierwszych huków pochodzących z wybuchu bomb lotnictwa znaczonego swastyką.

Dzień szósty: na zapytanie Składkowskiego, czy opuści stolicę za przykładem rządu, Prezydent Warszawy Starzyński, odpowiada pół z dumą, pół drwiąco: „Ja tu zostaję na gospodarstwie”. Kolunny czołgów niemieckich dochodzą do Grójca i do radiostacji w Raszynie.

A później dni walki bezpośrodkowej, walki wręcz, walki nieuzbrojonego miasta... Stolica cierpi.

Wrzesień 1944 był jeszcze gorszy. Małe grupki powstańcze walczyły o każdą ulicę, dom, barykadę. Ruin przybywało. Zagasło nawet słońce od blasku pożarów.

Zdawało się: nie wróca już nigdy te prawdziwe, pełne piękna i życia wrzesnie warszawskie.

Wrócić jednak. Zrazu może nie tak wspaniale, nie tak gwarne, ruchliwe, owiane niczym żałobą, smutne po tych co odeszli.

Z roku na rok poprawiał się nastrój. Z roku na rok coraz mniej widoczne były ślady zniszczenia. Na naszych oczach rosła ze zgliszcz nowa stolica.

OTO zaczyna się czwarty już wrzesień powojennej Warszawy. Do wszystkich zjawisk charakteryzujących ten miesiąc stolicy, od trzech lat doszło jeszcze inne, nowe, piękne, celowe, zamykające się w hasło: odbudowa Warszawy.

Nie z przypadku właśnie wrzesień wybrany został miesiącem odbudowy stolicy. Jest w tym jakże ludzkie zaprzeczenie temu co się w tym samym miesiącu działo w latach 1939 i 1944. Jest w tym manifestacja przeżośći: tamte wrzesnie nie zdołały nas zniszczyć, nie zdołały ziać pragnienia do życia prawdziwie człowieka, życia poświęconego budowie, a nie niszczeniu; pokojowi, a nie wojnie.

ODBUDOWA Warszawy jest jednym z symbolów współczesnego życia narodu. Jakże szybko uciły różne, równie śmieszne jak nieroz-

jej pełne zrealizowanie, możemy ukrócić bezprawie państwa do stosunku do jednostki. I tę zasadę starają się obecnie prawnicy, a raczej politycy brytyjscy, dotkliwie poważać.

## ROZMOWY W MOSKWIE

Rozmowy w Moskwie toczą się nadal. Delegaci trzech państw zachodnich przyjęci zostali na drugiej audyencji u Stalina i zapowiadane są dalsze rozmowy z min. Mołotowem. Po audyencji u Stalina komentarze odnośnie możliwości porozumienia znowu wzmocniły swój optymizm. Półoficjalni komentatorowie ze stron obu stwierdzają, że zasadniczo sprawy rozwijają się pomyślnie.

śadne, pomysły, których najklasyczniejszym przykładem był projekt, aby zniszczyć Warszawę otoczyć drutem kolczastym i zostawić jako dowód niemieckiego bestialstwa, jako przestrożę dla ludzkości. Świat nie uznałby tego za mądre. Zamiast budować pomnik Hitlerowi, pomnik, z którego na pewno niejedno jeszcze pokolenie niemieckie byłoby dumne, postanowiliśmy wybudować pomnik siły polskiego narodu.

W decyzji odbudowy stolicy, w sposobie jej realizacji nie trudno dopatrzeć się tradycyjnego, jakże często niesłusznie wysmiewanego t. zw. „polskiego romantyzmu”. Niewątpliwie trzeba było być romantyką, by w sprawie tak ważnej, nie oglądać się na trudności.

Nie był to jednak romantyzm cikiwej a dochodowej „piosenki o mojej Warszawie”. Jednym ze źródeł podjęcia tej pracy było umiłowanie dumnej historii kraju i miasta, które tego kraju było stolicą, umiłowanie tradycji, zamykającej w sobie, warstwa na warstwie, dorobek pokoleń. Tego romantyzmu wstydzicie się nie trzeba.

Jakkolwiek takie były niewątpliwie zasadnicze, podstawowe przesłanki, z których zrodziła się decyzja odbudowy, to już sam akt woli, wyrażający się wybudowaniem w ciągu trzech lat na terenie stolicy nowego i nowoczesnego pod każdym względem miasta dla 150 tysięcy mieszkańców (tak można by w przybliżeniu scharakteryzować dotychczasowe osiągnięcia odbudowy) powstać mógł tylko i wyłącznie z dokładnego rozumienia tego czym jest życie jednostki i narodu, z realnego traktowania czasu, który jest i który będzie.

To ten realizm właśnie potrafił przekonać nas, iż świat sędzić nas będzie nie z maski płaczu i bólu nad przeszłością lat wojny i okupacji, lecz z czynami udowodnionej woli odrobienia strat. I tak jest w istocie. Dla obokrajowca bardziej przekonującym od widoku wszystkich cmentarzy jest widok w rok odbudowanego mostu Poniatowskiego. Sentyment należy zostawić na użytek własny, wewnętrzny — obcym pokazać realną siłę. Tylko tym można im zaimponować, a sobie zapewnić należne miejsce w życiu międzynarodowym. W tym znaczeniu odbudowa Warszawy jest aktem politycznym. Atutem w twardej grze o przyszłość.

PODJEĆCIE dzieła tak szeroko zakrojonego jest również wkroczeniem w progę nowej szkoły wychowania narodu. W szkole tej uczymy się codziennie, kładąc według pewnego, prawem budownictwa ustalonego, systemu, cegłę na cegle: są sprawy wyższe nad sprawy jednostki, silniejsze niż te, które nas dzielą — sprawy narodu; wypełnić je jest trudno — stać się to może tylko poprzez zgodny, harmonijny, wyjęzony i skuteczny wysiłek całego narodu, wysiłek, aby nie było wątpliwości, w którym liczy się głównie wypadkowa, a znacznie mniej wkład jednostki.

Trzyletnia nauka daje świadectwa coraz bliższe tak nam potrzebnego dyplomu dojrzałości społecznej. Odbudowę stolicy, prowadzi się, zgodnie z obowiązującym dziś wzorem życia gospodarczego, na trzech odcinkach. Pomiędzy (ze względu na intencję artykułu nie zabiegającego o choć przedstawienia bilansu całości) wkład kapitałów: państwowego i prywatnego (w sensie t. zw. inicjatywy prywatnej), a zajmijmy się na moment wynikami przeprowadzonej tu mobilizacji społecznej.

Spółeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, korzystając z nadarzającej się okazji, przedkłada narodowi sprawozdanie ze swoich wplywów. Okazuje się, iż zebrano na ten cel:

w r. 1946 —	211.978.021.84 zł.
w r. 1947 —	1.200.334.037.01 zł.
w r. 1948 —	718.092.269.28 zł.

(do 18.VIII)

Razem 2.130.404.328.13 zł.

Przeszło dwa miliardy złotych w ciągu trzech lat. Kierownicy akcji, myśląc o potrzebach stolicy powiedzą: mało, bo można by i trzeba więcej. Ja powiem: dużo, bo mogło być mniej. Zgodzę się natomiast z tezą końcową SFOS-u i ostatecznie wydam osąd: dużo, ale można i trzeba jeszcze więcej.

Dwa miliardy to duża suma. Wyśliśmy z wojny wszyscy poważnie zniszczeni. Zarobki nie są imponujące. Stać nas na drobne ledwie dat-

ki. I aby z tych skromnych ofiar w ciągu niecałych ośmiu miesięcy tego roku powstała suma ponad 700 milionów zł. musiało być wielu ofiarodawców. Tak było istotnie. I tu jest sens sprawy.

Ważna jest oczywiście (w imię realizmu — jednego z obowiązujących przedmiotów w szkole, o której mowa) wysokość zebranych sum, ale co najmniej równie ważna jest ilość stałych płatników na rzecz tego funduszu.

Po trzech latach nauki uzyskujemy stopień dostateczny. Do ideału daleko. Wierzyć jednak trzeba, iż nauka nie idzie w las, że rozumiemy już warunek pomyślnego ukończenia studiów: wysiłek systematyczny i stałe się zwietszający.

Tu musi obowiązywać skrócony czas nauki. Za długo by było czekać na potrzebne rezultaty. Jeśli społeczeństwo polskie chce uzyskać zasłużenie wielką maturę, musi zrozumieć i praktycznie wykonać trzy podstawowe warunki: świadczenia na rzecz odbudowy stolicy muszą być:

- stałe.
- powszechne.
- coraz wyższe.

Praktyczny skutek złożenia tego egzaminu, będzie prosty: Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy operować znacznie budżetami, których prelimitarże łatwo da się ustalić na skutek systematyczności wplyw. Powszechność ofiar, poza skutkiem wychowawczym, wraz ze wzrostem ofiarności da możliwość inwestowania większych kapitałów. Wszystko to razem przyspieszy odbudowę stolicy.

NIE będę tu mówił, w pracy, która zamierzona była jako artykuł okolicznościowy, a rozrasta się w jakiś tasiecię, z którym czytelnik nie bardzo będzie wiedział co ma robić, o osiągnięciach w odbudowie Warszawy. Interesujący się tą sprawą znajdzie we wrześniu odpowiednie dane na łamach prasy codziennej. Najlepiej zresztą znaleźć się w Warszawie i pospacerować po ulicach. To da lepsze wyobrażenie, niż analiza statystycznych zestawień.

Muszę jednak poruszyć tu jeszcze jedną sprawę, o której mówi się może zbyt mało.

To co rozumie się powszechnie pod pojęciem: odbudowa Warszawy — to nie tylko uprzątnięcie ruin, budowa gmachów, mostów, linii komunikacyjnych i t. p. Odbudowa Warszawy to także odbudowa człowieka.

Prawda: wszystkie te gmachy, mosty, tory tramwajowe, nowozakupione Chaussony są dla człowieka. Tak. Jest to jednak tylko odbudowa jego życia zewnętrznego. A to nie wszystko.

Warto by kiedyś wziąć ołówkę do ręki i skrupulatnie obliczyć co dla jakiegoż życia zrobiono. Warto by sprawdzić, czy zachowana jest równowaga. Z jednej strony trasa W-Z, z drugiej uniwersytet i politechnika. Tu gmachy ministerstw — tam szkoły. Tu przebiecie i poszerzenie Marszałkowskiej — tam teatry.

Nie chcę przesadzać ostatecznego wyniku tych obliczeń. Chcę wierzyć, iż myśli się poważnie o obu typach inwestycji. Tak to by zresztą mniej więcej wynikało z późniejszego przebiegu jednego odcinka inwestycji dokonywanych przez SFOS. Wydaje mi się jednak, iż trzeba dość mocno przy każdej okazji akcentować, iż problemem społecznie ważnym jest odbudowa kościołów, a nie tylko dworców kolejowych i mostów. że ważną jest sprawą, by urzędnik miał nie tylko swój gabinet w gmachu ministerialnym, ale i estetyczny, wygodny pokój w swoim prywatnym mieszkaniu.

WRZESIEN Warszawa. Miesiąc odradzającego się, po okresie kanikuly, życia stolicy. Miesiąc babiego lata. Miesiąc skracających się dni. Miesiąc premier w teatrach, inauguracyjnych koncertów, likwidacji węży morskich w prasie, kłopotów o ubranie na zime, wzmoczenie ruchu na giełdzie politycznej, wspomnień powczasowych, opowiadań o pięknie Tatr i Wybrzeża, miesiąć małżeństw skojarzonych w alejkach Łazienek, ale przede wszystkim: miesiąc odbudowy. Takie jest główne znamie warszawskiego września A. D. 1948.

Nie sędzę, by ktoś o tym potrafił zapomnieć.

Mieczysław Markowski

## W kraju

## ROZPOCZĘCIE ROKU SZKOLNEGO

Przypadający w tych dniach początek nauki w szkolnictwie średnim i powszechnym będzie jednocześnie rozpoczęciem funkcjonowania nowego, jedenastoletniego systemu nauczania. Na innym miejscu tego numeru omawiamy nowy plan nauki, wyjaśniając na czym reforma polega. Tu chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników na konieczność możliwie troskliwego zajęcia się uczącą młodzieżą w domach rodzinnych. Tak niestety jest, że rodzice nie zawsze liczą się z obecnością swoich dzieci w domu. Nie zawsze chcą zrozumieć, że nawet uczeń młodszych klas potrzebuje spokoju dla swojej pracy. W najlepszym razie dom ogranicza się do zakupienia podręczników. Jaki z nich użytek zostanie zrobiony, kiedy i gdzie dziecko ma się uczyć w domu, to już sprawa najczęściej zapomniana. Należy pamiętać, że wyniki pracy szkolnej, że poziom umysłowy, a przede wszystkim moralny dzieci zależy od troski rodziców. Bez niej praca nauczyciela trafia w próżnię; bez niej trudno osiągnąć właściwe rezultaty wychowawcze. Nowy rok szkolny powinien stać się okazją do zwiększenia troski domu o nasze dzieci.

## 1 WRZESIEN

W tym tygodniu upływa dziewiąta rocznica wybuchu drugiej wojny światowej. Wydaje się, że pamięć pierwszego września roku 1939 żyje jeszcze niezłomna w każdym z nas. Warto jednak przy okazji nadchodzić tego dnia rozpoczęcia walki pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze każda wrześniowa rocznica powinna być zarazem aktem wzmocnienia woli odbudowy tego wszystkiego, co zostało zniszczone. Odbudowy zniszczeń materialnych, ale także i głównie zniszczeń moralnych. W zakresie spraw gospodarczych każdy rok przynosi nowy krok na przód. Jadąc po kraju spotyka się ślady upartego wysiłku prześcignięcia stanu z przed roku 1939. I tu są wyniki. Ślady jednak zniszczeń moralnych trwają dłużej. Nieufność człowieka do człowieka, zawiść, nieuczciwość spotyka się niestety także na każdym kroku. Wystarczy przejrzeć prasę codzienną, by zdać sobie sprawę, ile jeszcze w tej dziedzinie jest do zrobienia. Data wrześniowa powinna zawsze przyniesić też refleksję i choć część spustoszeń usuwać. Spustoszeń panujących w nas samych.

Po drugie rocznica 1 września przywołuje na pamięć wszystkich od tego dnia poległych. Pamiętamy na ogół o miejscach ich mogił. Wznosimy im pomniki i mauzolea. My katolicy powinniśmy jednak także pamiętać o kontakcie mistycznym z najbliższymi, którzy odeszli. Istnieje obowiązek modlitwy za nich, najszczytniejszy obowiązek pamięci o ich duszach. Dzień 1 września stać się powinien dniem nie tylko wspomnień, ale dniem modlitwy.

## ZACIEŚNIAJĄCA SIĘ WSPÓLPRACA

W ramach coraz serdeczniejszych, a przede wszystkim obustronnie korzystnych stosunków polsko - czeskich została ustalona współpraca między oboma krajami w sprawach poczty i telekomunikacji. 27 ub. m. przybyła do Warszawy delegacja czeskosłowackiego ministerstwa poczty i telegrafów w celu omówienia usprawnienia działalności urzędów pocztowych obu państw. Czesi przebywać będą w Polsce do 3 września

Jan Dobraczyński

# Po co chodzić do kościoła...?

Księdzu L. M. ofiaruję.

Lubimy być z wielu rzeczy dumni, jesteśmy więc dumni z naszego katolicyzmu. Podkreślam: z naszego, bo mówić, że się jest dumnym z katolicyzmu, nie ma żadnego sensu. Lacordaire powiadał, że być katolikiem to wielki zaszczyt i wielki ciężar. Ale katolicyzm to przede wszystkim Łaska, Łaska, która daje i która żąda. Więcej daje — więcej żąda. Kto dostał katolicyzm, ten do stał rzecz największą. Maszynę nie bywałej mocy. Bombę atomową zdolną poruszyć cały świat. Chodzi jednak o to, co z nią zrobić? Zakończyć w ziemię, czy rzucić na głowy swoich bliźnich? Czy — może — zaprzęgnąć do pracy?

Chodzi więc o to, cośmy zrobili z katolicyzmu. My. Nie to, co „się zrobiło” wbrew nam, mocą świętości katolicyzmu. Nie to, cośmy zaczerpnęli z katolickiego dorobku drugich. Co myśmy zrobili sami? Co jest naszym, polskim katolicyzmem?

Nie mam zamiaru sięgać w daleką historię. Dzieła katolicyzmu w Polsce na przestrzeni wieków są ogromne. Nasza kultura, cywilizacja, nauka, nasze poczucie wolności — wszystko to wyrosło na podłożu katolickim. Polskość w swej najbardziej instynktownej formie jest wraz z katolicyzmem. Uzasadniać tego nie będę, bo u nas nie ma takich, którzy by o tym nie wiedzieli, a jedynie są tacy, którzy o tym wiedzieć nie chcą. U nas nawet ci, którzy walczą z katolicyzmem maszerują pod sztandarem z wypisanym na nim katolickim hasłem. Vide: sekciarze, wymachujący sztydem „głos wolny”. U nas wszystko: od praw państwowych do sztuki ssało swą siłę z katolicyzmu. Arcykatolicka Francja nasiąkała — jak na to kiedyś słusznie zwrócił uwagę niezapomniany O. M. Morawski — po ganstwie rzymskiego prawa. Myśmy pogaństwa nie chrzcili, ale pogaństwo wyrwali.

Toteż nie reakcja pogaństwa nam zagroziła, ale nasza własna bierność. Jesteśmy narodem „kobiecy” — miał rację Dmowski. Naród polski składa się z Polaków i Polek, ale Polak jest zawsze Polką (dlatego tak niebezpiecznym jest proces defeminizowania naszych kobiet). Żyjemy odruchami, potrzebą działania. Koniecznością działania. Byliśmy „matką świętych”, gdy święci byli niezbędni w życiu młodemu chrześcijaństwu. Ale potem został tylko tytuł i cześć słowa, tym bezmyślniejsze, że obnoszone w latach „zastoju”. Byliśmy „przedmurzem chrześcijaństwa”, ale przeszły wieki, gdy ten tytuł był dla nas tylko wymówką wobec nierobstwa.

Nie ma dla nas gorszego dramatu jak pozostać z tradycyjnym przeświadczeniem o czymś, czego nie ma. Nie ma większej tragedii jak uwierzyć, że wciąż posiadamy to, czego już nie posiadamy. Drażni mnie, gdy słyszę deklamację: jesteśmy katolikami i nikt nam naszego katolicyzmu nie odbierze. Czy już szatan, który w liście św. Pawła krąży „jako lew ryczący” przestał myśleć o pożeraniu. Apostołowie zasnęli w Ogrójcu, a nam senność nie grozi? Pewno, zarozumiałość poszczególnego z katolików nie idzie aż tak daleko. Przyznaje — szczerze lub nieszczerze — ale przyznaje: mogą się mylić, mogą zgrzeszyć, mogą zasnąć. Lecz nie zaśnie mój proboszcz, mój biskup. Nie zaśnie moja grupa, moja partia, mój naród. Hurat! Zasną! Śpi się naj-

piej w kupie. Śpi się najlepiej, gdy się wierzy, że ktoś tam czuwa.

Wydaje mi się, że w momencie wybuchu wojny spaliśmy dość mocno. Może zresztą się mylę, może właśnie na pięć przed dwunastą za częliśmy się budzić. Ale dwudziestolecie tośmy na ogół przespałi. Trochę tam było zgłębku na początku, ale jak się tylko upewniliśmy, że katolicyzmowi nic nie grozi, zasnęliśmy na nowo. Kto nam, katolikom, zarzuca, żeśmy przykładali rękę do tej całej zabawy, jaką była „sanacja”, „Radosna twórczość”, „byczo jest” itd. — ten po prostu kłamie. Ale kto by nam zarzucił, że mając w ręku taką maszynę jak katolicyzm, spaliśmy — mówi prawdę. Spaliśmy. Niedawno pisał Kętrzyński o tym, że za mało mamy księży. Przed wojną mieliśmy już ich o połowę za mało. Powołań brakło, a wśród tych, które były, jakich ogromny procent stanowili księża, dla których stan kapłański był tylko środkiem do wyjścia z nędzy.

A zakony! Kiedyś cała naukę dźwigały na swych barkach. Potem ledwo sobie dawały radę z opieką społeczną. Na palcach jednej ręki można wyliczyć wielkie indywidualności spośród jezuitów czy dominikańców. Franciszkanin Kolbe — indywidualność na miarę Wincentego, a Paulo, musiał mocno wstrząsnąć swoimi, by mu nie stawali na drodze w realizacji Niepokalanowa. Kogóż wyliczyć wśród twórców, w dziedzinie myśli katolickiej? Ks. Sawicki i ks. Jakubiak (oba doszli do znaczenia ponieważ pisywali nie po polsku), O. Woronicki i ks. Lewandowicz, ks. Żychliński i O. Pawelski, ks. Michalski i ks. Salamucha... Lista się rwie i kończy. A literatura katolicka? Miłuszewski, Grabski, Morcinek... Zbyt śmiała, więc i przez swoich niedoceniana Zofia Kossak. W jakiej chcemy dziedzinie, wszystko się kończy na palcach jednej ręki. W 35 milionowym kraju, wśród 25 milionów katolików.

Ale na zewnątrz uważało się, że jesteśmy krajem katolickim. Myśmy sami w to wierzyli. W Wilnie istniała fabryka rozwodów. Wszyscy ministrowie byli bigamistami. Uważanie małżeństwa Mościckiego było skandalem i zgorzeniem. Artur Górski napisał dosadnie, co myśli o wszystkich kuratorach okręgów szkolnych. W szkołach walczyło się z religią, bez krzyku a skutecznie — choć na Szucha królował niby migdał wśród masonskich rodzin — ks. Zongolowicz. W chwilach największego skandalu, któryś z biskupów tupnięciem ratował sytuację. Bo katolicy nie mieli na to czasu: albo spali, albo się kłócili. Chadecja zawierała przymierze z sanacją, by tylko zgubić endecję, za to, że ta wprowadziła do swego programu coraz bardziej katolickie, więc „konkurencyjne” hasła. Na terenie akademickim, „Odrodzenie” skakało do oczu Sodalitacji i KMN. Wreszcie katolickie państwo postanowiło „nawrócić” prawosławnych Rusinów z południowej lubelszczyzny, wydano więc stosowny rozkaz staroście z Hrubieszowa, staroście z Tomaszowa (izraelicie z wyznania), oraz dowódcy 2 pułku Strzelców Konnych (dwie żony)... Majdańskiego za to, który wrzeszczał do ochrypnienia, wywalono kopniakiem z posady nauczyciela...

Katolicyzm obudził się po wojnie. Musiał się obudzić. Narobiono takiego hałasu, że obudzono go. Mało tego, że obudzono. Nagle okazało się, że miliony wymagają od niego odpowiedzi na tysiące pyta-

— i to nie dotyczących jego wiecznej misji, ale spraw doczesnych. Ci którym ostatecznie materializm nie odpowiadał i ci — bądźmy szczerzy — którzy woleliby go w innym wydaniu, pchali się do Kościoła. Na hurra. I ci co uwierzyli i ci, co nie uwierzyli. Kościoły poczęły pękać od wiernych.

Wszystko to nie stało w proporcji do pozycji politycznej katolicyzmu w Polsce. Bądźmy jednak uczciwi: pozycja ta była także funkcją naszego zaspiania. Nie oczekujemy, aby materialisci uznali drogę Kościoła, który głosi spirytualizm. Rola ta uzależniona jest całkowicie od umiejętności katolików zdobycia jej sobie. Po ludzku. Uczciwie i mądrze. Ale nie dlatego, że w kościołach tłamszą się miliony. Dlatego, że katolicyzm potrafi działać dla milionów.

Chrześcijaństwo stanowili w I wieku w Imperium drobną sektę. Wiedzieli jednak, że mają w rękach Prawdę i że tę Prawdę obowiązani są dać wszystkim. Nie, że wszyscy mają do nich przyjść i tę Prawdę otrzymać, ale to oni wszystkim mają tę Prawdę zanieść. Loco dom od biorcy. Gratis. Katolicyzm nie był wówczas towarem dla poszukiwaczy. Rozdawano go hojnie na drogach i ulicach. Nikt się nie drożył. Prawo podaży nie istniało. Katolicy nie chorowali na przekonanie, że są lepszym typem ludzi. Wyższym typem. Prezbiterowie i diakonowie nie uważali, że ich kala rozmowa z pogańcem. Że to jest zdrada, gdy go chcą nawrócić. Chrześcijaństwo tkwiło w życiu publicznym, które przecież było pogańskim i tkwiac w nim, żyć się przemieniali. Nie rozpoczęli od rozwalania instytucji niewolnictwa, ale niewolnictwo uczynili w kilka wieków niemożliwym. Nie zaczęli od walki z imperium, ale w parę wieków skończyli z panromanizmem. Prawda, że zwalczając szerszą rozpustę zniszczyli pantomimowy teatr rzymski, zagrzebali na parę wieków wielką tragedię grecką. Że obalając otoczone oficjalnym kultem rzeźby cesarów, obalili wiele skradzionych z Grecji rzeźb Praksytelesa i Fidiasza. Że drąc na strzępy wypociny dekadentów epikurejczyków i „egzystencjalistów” stoików, podarli dzieła Platona, Epikteta, Seneki. To już jednak były „koszty handlowe” wielkiej rewolucji socjalnej. Chrześcijaństwo stało się fermentem i fermentowało przez stulecia. Przeważnie szło w pierwszym szeregu. Czasami pozwalało przed siebie wyszorować się innym, ale to tylko na chwilę: co było w tej inowacji chrześcijańskiej, wracało do chrześcijaństwa, co było niechrześcijańskie — zostawało odrąbane i szybko — w kilka, kilka dziesiąt, czy kilkaset lat — konało. Arianizm, czy luteranizm, pelagianizm czy kalwinizm miały tę samą historię.

My, dzisiaj, po 2.000 lat rewolucji chrześcijańskiej czujemy się jak spadkobiercy, żyjący ze splaty wie ryżności dziadka. Jeszcze wobec Murzyna czy Chińczyka zachowujemy postawę zdobywcy. Ale białego człowieka nie chcemy zdobywać. Uważamy, że biały człowiek obowiązany jest być — lub chcieć — chrześcijaństwem. Dlatego też podbijamy Afrykę, Chiny, Japonię, zaś przegrywamy w Europie. Przegrywamy tam, gdzie śpimy, wygrywamy tam, gdzie czujemy. Wygrywamy tam, gdzie się „dmiemy” i pysnimy, wygrywamy tam, gdzie jesteśmy pokorni. Przegrywamy tam, gdzie walczymy karabinem maszynowym, wygrywamy

tam, gdzie walczymy miłością. Nie jesteśmy zdobywcami, gotowymi umrzeć dla zwycięstwa. Mamy ducha rentiera, wdychającego do życia na koszt bogatego papy.

Jesteśmy oburzeni, że materializm odniósł u nas zwycięstwo — czego staramy się nie widzieć i nie uznawać — i że zwycięstwa dalej odnosi — co już nas niepokoi. Do bry Boże. Materializm wygrywał zawsze, w każdym momencie, gdy chrześcijanie szli się przedzierać. Gdy chrześcijanie budzili się, spozostawali, że wszystkie miejsca są zajęte. Wtedy co — obrażali się? Och, obrażać się bywa czasami przyjemnie. Tylko co to da? Co wyjdzie z tego, że proboszcz nie będzie rozmawiał z sołtysem? Ten wspaniały Bernanos, którego śmiercią „Odrodzenie” pośpiesznie zamyka już francuską literaturę katolicką, a którego twórczość okaże się — jak się zdaje — nie mniejszym fermentem w sztuce jak twórczość Bloy czy Papiniego, pisze w swej powieści „Monsieur Ouine”: „Nienawidzę do księdza jest uczuciem jednym z najgłębszych, jakie żyją w człowieku, a także jednym z najmniej znanych. Że jest równie starym, jak sam stan kapłański — o tym nie można wątpić; nasz wiek jednak podniósł je do stopnia wyjątkowego; upadek lub zniknięcie innych potęg, sprawiły, iż ksiądz pozornie wmieszany w życie społeczne, wyobnał się jako jednostka odrębna, bardziej obca niż owi starcy — magicy, których starożytność trzymała w głębi świątyni... Tym bardziej obca, że nie uważa się za taką, ulegając grubym złudzeniom: ironii z jednej, służalczej obrony z drugiej strony. Lecz w miarę jak okoliczności — mniej zresztą religijne, raczej polityczne, które wyhodowały ich dumę, zamieniają się w stan wrogi obojętności, rosnące poczucie samotności rzuca ich bezbronnych w wir konfliktów społecznych, które na próżno starają się rozwiązać cytowanymi tekstami. Lecz to nic nie znaczy. Przychodzi godzina, gdy na ruinach resztek chrześcijańskiego porządku narodzi się porządek nowy, będący porządkiem świata, porządkiem Księcia Świata, Księcia, którego świat jest królestwem. Wtedy pod naporem konieczności twardej niż wszelkie złudzenia, duma ludzi Kościoła, utrzymująca się tak długo przez zwykłe konwencjonalne przeżytki, rozpadnie się aż do swej istoty. Lecz wtedy kroki żebraków strząsną ziemią...”

Tak, kroki żebraków mogą wstrząsnąć ziemią. Zadaniem proboszcza nie jest spór z sołtysem. Zadaniem katolika nie jest wojowanie z niekatolikiem. Budowanie Królestwa Bożego jest równie aktualne w epoce samolotów rakietowych jak wówczas, gdy Chrystus chodził po ziemi.

Jeśli więc miliony przychodzą do kościołów... — powiedzą mi: O przepraszam! Nie zawsze miliony w kościołach to to samo, co miliony w Kościele. Człowiek w Kościele, to ten, który wprowadza do Kościoła siebie, rodzinę, swój naród, wszystkie swoje sprawy. I odwrotnie: który wyznosi Prawdę Bożą do spraw codziennych. Ci, którzy przychodzą do Kościoła, a potem z Niego wychodzą i żyją tak, jakby Kościoła nie było, jutro gotowi są wierzyć w marksizm. Decydującym kryterium nie są kwadransy czy godziny spędzone w Kościele. W ck. armii austriackiej słynne było powiedzenie: to nie jest ważne, abyś wierzył, ważne jest, abyś chodził do kościoła.

Toteż była to ta sama chodząca do kościoła armia, która na wezwanie arcybiskupiej Marii Teresy najzuchwalej rozdzierała Polskę. I do kościoła można chodzić dla demonstacji, na złość komuś, czy czemuś.

Byłem niedawno w jednej małej, podtatrzańskiej parafii. Słyszałem jak proboszcz przekonywał swoich parafian: Po co chodzą do kościoła? Aby się modlić? Modlić się można i w stodole i za stodołą. Bóg jest wszędzie. Do kościoła idziecie, bo tam się dokonuje Ofiara, najświętsza Ofiara, której zawdzięcza świat ratunek. Ale gdyś już w tej Ofierze wziął udział wracaj do siebie. Do życia. Do stodoły, do konia, do pola, do krowy, do owiec. Zanieś życie to, coś zdobył w Kościele. Wciąż Kościół z życiem. Życie bez Kościoła nie jest życiem. Lecz Kościół bez życia jest jak krzyż bez nas. Jak krzyż, na którym tylko Bóg wisi. A my — pozwalamy MU wisieć.

I słuchając tego — a nie były to argumenty słowne, ale szereg faktów, które przekształciły i przekształcają oblicze, tak łatwo ulegającej zniekształceniu pod wpływem letniczków, wycieczkowiczów i wczasowiczów, wsi góralskiej, stała mi się jawna prawda, jasna jak słońce, a przecież dotychczas niedostrzeżona: powiązaniem katolicyzmu z życiem jest parafia. Parafia. Między człowiekiem a Kościołem jest parafia. Jest związek ludzi połączonych wspólną troską o sprawy wieczne. Nam ludziom miasta niewiele pozostało świadomości jej istnienia. A przecież to jest gmina Kościoła. Należąc do Kościoła, należymy przede wszystkim do parafii. To przez parafię demonstrujemy naszą przynależność do Kościoła. Przez życie w parafii, przez pracę w parafii.

Parafia... Nam, katolikom, często się zdarza zasypiać. Wtedy zostajemy w tyle, wtedy wiele spraw wymyka się nam z rąk. Inni wyprzedzają nam inicjatywę. Ale budząc się, budzimy się w parafii. Ta komórka Kościoła — pozostawiona sama sobie — pozostawiona niedołęstwu lub geniuszowi swego proboszcza może stać się Liskowem i może stać się pogorzeliem. Lecz z tym wszystkim to jest nasz, tylko nasz zrab organizacyjny. Wstępny, mały, prymitywny. Ale jakżeż ważny. Cóż jest wart Caritas w skali państwa, czy bodaj diecezji — z konieczności urzędniczy i biurokratyzowany, jeśli nie ma Caritasu parafialnego.

Z parafii wyrasta wszystko. Parafia bowiem obejmuje dotykalny zasięg spraw. Kochać bliźniego poza parafią — to najczęściej nie kochać go wcale. Praktykować katolickie życie społeczne poza parafią — to zwykle deklamować tylko o nim.

Nic, to nie jest wielka szansa, że miliony trafiły do kościołów i tłoczą się w nich. Ale to jest wielka szansa, że musimy wrócić do życia w parafii. Siła katolickiego średnio-wieczna zawierała się przede wszystkim w życiu małych gmin katolickich. O coż chodzi? O to, aby w obrębie parafii ludzie poczuli się odpowiedzialni jedni za drugich. Aby się budzili, gdy ich naidzie senność. Aby budowali Królestwo Boże od fundamentów.

Na tej małej, a tak imponująco kwitnącej parafii podtatrzańskiej zrozumiałem — tak mi się przynajmniej wydaje — wielką szansę.

Jan Dobraczyński

Wartość postawy ideologicznej i artystycznej Żeromskiego jest przedmiotem sporu. Krytyka sfer zachowawczych gromiła Żeromskiego za niemoralność. Krytyka marksistowska upatruje w nim przedstawiciela obłudy i pozerstwa - podszywaną się pod rewolucjonizm. Krytyka wreszcie naukowa próbuje zakwestionować wartość artystyczną Jego dzieł. Tym niemniej masy czytają Żeromskiego i twórczość jego wpływa na psychikę polską.

Dlatego zaostriamo dyskusję nad Żeromskim — ośnieniem, które przeżył Stefan Kisielewski, ośnieniem, które go doprowadziło do bardzo śmiałych wniosków o sobistych.

Dalsza dyskusja wykaże, o ile Kisielewski ma także rację, jako członek społeczności katolickiej.

Redakcja

Mieszkam z dziećmi i w ogóle z rodziną w pewnej podhalańskiej wsi. Mieszkam, mieszkam, aliści cza sami czuję, że tak dłużej być nie może: jakiś rzeźwy a niepokojący powiew wewnętrzny bruzdzi wciąż i nie daje spokoju — kusi, zaprasza, zachęca — po prostu zmusza do wędrówki. Pewnego dnia, jakby z góry przez los uplanowanego, zbu dziwszy się rano jąłem działać z energią i dokładnością ruchów lunatelyka albo człowieka pod hipnozą: zapakowałem w plecak sweter, wiatrówkę, koszulę, ręcznik, trochę jedzenia, mapę i — wyruszyłem. Na Babią Górę.

Do podnóża Babiej jest od nas ze dwadzieścia pięć kilometrów. Przeszedłem je — nie chwając się — w „dobrej formie”. Gdy już u pał i czwarty krzyżyk zbytnio naciskały a serduszko podchodziło pod gardło, wstępowałem do góralskich knajpek na piwo. Rozsiadałem się wygodnie na koślawych krzesłkach i rozgadywałem szeroko o tym i o wym, o Niemcach, partyzantce, podatkach — co kto lubi. Górale tujejsi to nie to, co tatrańscy — a jednak góral jest zawsze góralem. Chwalili się przede mną, że nigdy nie byli na Babiej (z okien „wyszynku” widać było szczyt), dziwili się, że chce mi się iść w taki upał, proponowali gościnnie. Z niezależną miną żegnałem ich i pełen piwa oraz ciężkawego, chmielowego szumu w głowie wędrowałem dalej z utęsknieniem wpatrując się w ciemną zieleń lasów porastających stoki Babiej

O wpół do trzeciej zakończyłem pielgrzymkę przez nieskończone szeregi rozrzuconą wieś podgórską i zagłębiłem się w lesisty cień, wspinając się do góry łagodnymi, szerokoimi ścieżkami, na których odcisnięte były koleiny — ślady wozów z drzewem. Później ścieżki zwały się i stały się bardziej strome. Czarne jagody kusily, nogi ślizgały się po korzeniach drzew, gałęzie świerczków były po twarzy, mimo to szedłem w górę energicznie, zatrzymując się tylko czasami, gdy drzewa się przerzedzały a przed oczami otwierały się szerokie, dalekie, zamglone perspektywy pokratkowanej kwadracikami pół pagórkowatej krainy. Powiało bezkresną, górską swobodą. Nie Tatrę to wprawdzie — ale zawsze góry.

O czwartej byłem w schronisku, mniej więcej na połowie drogi do szczytu Babiej. Czułem się już trochę zmęczony, mimo to, wypiszy szybko jeszcze jedno piwo, ruszyłem dalej w górę. Ścieżka, biegnąca stromo obok dość tajemniczo szumiącego potoku, wspierałem się na przelęcz już powyżej linii lasów, z przełęczy dróżką wśród kosówki i kamieni — na szczyt.

Nie było tam już nikogo — po drodze minąłem się z trzema harczykami, wracającymi do schroni-

ska. Włożyłem wiatrówkę, bo wicher wiał na górze porządny i przy siadłem między kamieniami, oprowadzając zmęczonym wzrokiem mgłący na horyzoncie łańcuch Tatr, błędząc oczami po stronie słowackiej i polskiej, po dalekich lasach i zabawnych, drobnutkich miasteczkach. Słońce chowało się za przed wieczorne, fioletowe obłoki, na horyzoncie białe mgły przyjmowały dziwaczne kształty głów ludzkich i zwierzęcych, wielorybów, wielbłądów, węży. Leżałem teraz na wznak patrząc w bladoniebieskie niebo i wsłuchując się w poszumy i poryki wiatru.

Było już późno i zimno, gdy wreszcie, cały ścierpięty, zdecydowałem się na powrót. W duszy mojej zaszła jakaś niezwykła przemiana. Podniecenie chmielowe, zmęczenie, samotność — wszystko to widocznie złożyło się na stan całkiem dziwny, pozaludzki i pozaziemski, stan pokory, bojaźni a zarazem gotowości na wszystko i oczekiwania — oczekiwania, że otaczająca mnie tajemniczość krajobrazu, a raczej tajemniczość nastroju — bo źródło tego wszystkiego musiało być przecież we mnie — wcieli się niezadługo w jakieś przeżycie silne i czyste a niezwykle, niezwykle dla takiego jak ja zjadacza chleba i spijacza piwa. Schodziłem w dół po oświetlonej lunami zachodu ścieżynce, a w uszach dźwięczał mi przepiękny dwuwiersz Mickiewicza:

„Niech się twa dusza jako dolina  
położy  
A wnet po niej jak rzeka popłynie  
Duch Boży”.

W tym stanie zeszedłem do schroniska, gdzie miałem nocować, ale to, co tam zastałem, nie było po mojej myśli. Rubaszny tłum jakiejś wycieczki „wczasowiczów” kotłował się przy naftowych lampach, nie było nawet gdzie posiedzieć spokojnie. Po krótkiej chwili zdecydowałem, że to nie dla mnie — trzeba zejść do owej szeroko rozrzuconej wsi u stóp Babiej — mój dzisiejszy nastrój stanowczo domagał się innego wieczoru i innej nocy. Chwiejąc się nieco na zeszytych i obolałych nogach wymknąłem się ze schroniska i zagłębiłem w cienie lasu.

Dobry był już wieczór, gdy opuściłem ów cienisty, w dołu wysokopienny las i znalazłem się na skraju wsi. Na niebie po trochu zapalały się gwiazdy, było chłodno, zimny wieczorowy błękit nieba łagodnie kontrastował z czepiającą się ziemi fioletowo szarą mgiełką. Z daleka naszczekiwały psy, mała dziewczynka prowadziła krowę i dwie kozy, popędzając je liściastą wityką. Podhalańska, górską bidota — znałem ją nie od dzisiaj. Szedłem szybko w gęstniejącym zmroku: zmęczenie fizyczne ustąpiło, zmżone widocznie moją uporczywością, a w sercu nadal gościł nastrój tajemniczy, pełen nadziei i oczekiwania. Nie troszczyłem się wcale o to, gdzie będę nocował — coś się przecież na pewno znajdzie.

Rzeczywiście — uwagę moją zwróciła nagle niewyraźnie w wieczornym zmięczeniu się rysująca, przybita do przydrożnego drzewa tabliczka z jakimiś krzywymi literami. Podeszedłem bliżej i odcyfrowałem napis: „Noclegi dla turystów”. Oho — to dla mnie. Otworzyłem starą, zgrzybiałą furtkę i stanąłem przed wcale ładną, lecz jakby opuszczoną, zaniedbaną willą, której obszerna weranda wspierała się na podmurowaniu z wielkich, granitowych kamieni. Obszedłem willę wokół — nigdzie śladu życia. Wreszcie z bocznych drzwi doszło mnie przytłumione szczekanie psa. Skierowałem się tam, wszedłem po schodkach, zastukałem. Po chwili znalazłem się w oświetlonej naftową

Stefan Kisielewski

# IMPRESJE SPOD

lampką kuchni, gdzie siedząc na niskim stołeczku obierała kartofle okutana w chusty starowinka.

Po niedługiej chwili byłem już z nią we wcale dobrej komitywie. Starowinka była właścicielką i jedyną mieszkanką willi, w której wynajmowała pokoje na noclegi. Szczegółowo opowiedziała mi o śmierci swojego męża, o wielokrotnych kradzieżach, które spustoszyły dom, o stratach i nieszczęściach, o dawnej świetności. Labidziła śpiewnym, kresowym akcentem, używając przy tym takich miłych wyrażań jak „ta roroga”, „żywiola”, „stwor”. Na moje pytanie przyznała, że pochodzi ze Wschodu, ale mieszka już tutaj dwadzieścia lat, tylko że na starość źli sąsiedzi uprzykrzają jej życie. W całym jej „labidzeniu” było jednak coś przyjemnego: w gruncie rzeczy nie skarżyła się, lecz opowiadała z filozoficzną rezygnacją, a nawet z przymieszką specyficznego humoru. Pod jej kierunkiem zwiędziłem całą willę: rzeczywiście widać tu było resztki fortuny — piękny stary kredens i pusta szafa biblioteczna (wyniesiono z niej, według słów starowinki, całego Sienkiewicza, Żeromskiego i Reymonta) kontrastowały z połamanymi góralskimi mebelkami i z zabitymi deską albo powybijanymi oknami. W jednym, z goła na rupieciarnię wglądającym pokoju parterowym odkryłem nawet horendalnie rozstrojone

pianino i przy wielkim aplauzie starowinki wykonałem „Trojaka”, „Kołomyjkę” oraz „Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mię woła”.

Na nocleg wybrałem sobie jeden z pokoi na górze, z wielkim drewnianym łóżem. Kurzu tam było na dwa palce. Pokój miał wielki balkon z widokiem na czerniejący w wieczornej poświacie masyw Babiej Góry. Staruszka zawiadomiła mnie, że nocleg w tym pokoju kosztować mnie będzie pięćdziesiąt złotych; na moje oświadczenie, że zapłacę jej sto złotych, zareagowała zdziwionym westchnieniem: „Ha, widać, że to pan nie biedny”, po czym zaprosiła mnie na kwaśne mleko z kartoflami w pompatycznej nieco, choć również deska mi zabitej jadalni.

Zamarudziłem trochę przy kolacji, słuchając śpiewnych tyrad mojej gospożynie. Przypomniałem sobie, że nie mam żadnej książki do poduszki — a tu, na starym kredensie leżało ich dwie. Wziąłem je do ręki: jedna, to była „Tiarra i korona” Jeske Choińskiego, druga — postrzępiony, z brakującymi kartkami egzemplarz „Dziejów Grzechu”. Wziąłem to drugie, naftową lampę i opatrzony błogosławieństwami starowinki ruszyłem „do siebie” na górę. Rozebrałem się, owinąłem kocem i otworzyłem tę książkę, której nie czytałem już od dwudziestu chyba lat. Oczy mo-

je padły na pierwsze zdanie, kiedy to Ewa Pobratyńska w stanie ekstazy czystości wewnętrznej wraca od spowiedzi.

Czerwona łuna wschodu słońca oświetlała okalające szczyt Babiej Góry ciemno-zielone, surowe lasy, gdy przebiegłszy wzrokiem ostatnią stronę zamknąłem książkę i wyszedłem na werandę. Stanąłem tam i — zacząłem się modlić. Modliłem się o to, żeby mi było dane raz kiedyś uchwycić piórem cienia tego, co znalazłem w dopiero co przeczytanej książce, żebym potrafił raz w życiu wnieść się na ten stopień miłości do człowieka i boleści nad losem ludzkim, osiągnąć taką gorzką i wzniosłą wiedzę o rozdarcie duszy pomiędzy przybrane w barwy najróżnorodniejszych, zmysłowych i intelektualnych pokus zło a wytęsknione, świetliste czyste — dobro. Z kart tej książki przemówiło do mnie jakżeż słusznie tak nazwane „serce nienasycone”, serce przebogate obejmujące swą miłością, swym zailem, swą żarliwą boleścią ten kraj, tych ludzi, każdy strzęp krajobrazu, każdą brudną uliczkę, każdą kałużę, w której odbija się niebo. Z jakimż tragizmem a zarazem z jakże nieugiętym realizmem ukazuje nam się w tej książce straszliwy mechanizm zła, zbrodni, grzechu, z jakąż żałością pochyła się autor nad widowiskiem przeboles-

Andrzej Staronka

# NAUKA

(Dalszy głos w dyskusji)

I.

W jakikolwiek sposób odnieśliśmy się do argumentów p. J. P. Gawlika („Dziś i Jutro” 33, „Nauka katolicka”), wymierzonych przeciwko teozom p. A. Pankowicza („Dziś i Jutro” 29, „Pojęcie nauki katolickiej”), o istnieniu specyficznej nauki katolickiej — w jednym musimy bezprzeczenie przyznać rację p. A. Pankiewiczowi: W podkreśleniu uniwersalnego charakteru katolicyzmu, i wynikającej stąd konsekwencji, że każda gałąź nauki styka się żywotnie z doktryną katolicką. (Wolałbym tu jednak powiedzieć — z rzeczywistością katolicką).

Dlatego nie można uznać za przekonujący argument p. J. P. Gawlika, że nauka i wiara leżą w zupełnie innych wymiarach rzeczywistości. Jeśli bowiem posłużymy się modelem ks. Salamuchy, to widzimy jasno, że każdy punkt podstawy stożka (przedstawiającej rzeczywistość dostępną zmysłom), da się połączyć prostą z wierzchołkiem (przedstawiającym Boga), a nie tylko punkty leżące na obwodzie koła podstawowego. Chodzi słowem o to, że każde nasze poznanie także czysto zmysłowe i naturalne wpływa w jakiś sposób na naszą wiedzę o Bogu. Ponieważ zaś i nauka składa się z takich, drogą zmysłów zdobytych, cząstkowych aktów poznania — więc każda nauka dodaje coś do naszej wiedzy o Bogu.

Wiara i nauka stanowią przeto dziedzinę, różniące się wprawdzie — (jak to słusznie przedstawił p. A. Pankiewicz), co do metody zdobycia wiedzy o rzeczywistości, ale odnoszące się nie do dwóch rzeczywistości, ale jednej, powszechnej — bo taka tylko rzeczywistość, istniejąca realnie, mimo wszelkich podziałów, jakie niekie-

dy ze względów metodycznych przeprowadzamy.

II.

Czy jednak wynika stąd, że uczo-ny stojący na gruncie wiary, musi co chwila trwożnie kontrolować wyniki swojej wiedzy, by przypadkiem nie popaść w kontrowersję z dogmatem? (Takie obawy leżałyby, zdaje się, po linii wywodów p. J. Gawlika).

Wiemy z historii nauki, zwłaszcza niektórych odkryć przyrodniczych, że zdarzały się wypadki, kiedy zdawało się, że sprzeczności takie zachodzą, a jednak, po jakimś czasie, sprawa się wyjaśniała, sprzeczność okazywała się pozorna, wynikająca najczęściej ze zbyt pośpiesznej interpretacji filozoficznej danego poglądu naukowego.

Rola Kościoła w takich, rzadkich zresztą, pozornych kolizjach, bywała nieraz b. ostro krytykowana — tak dalece, że aż zapomniano nie tylko o jego zasługach naukowych, ale i o tym, że pewien konserwatyzm i krytyczny stosunek do niektórych poglądów naukowych, stanowił w historii zrozumiałą obronę Kościoła przeciw nadużywaniu wiedzy do walki z religią, także wybitny bodziec dla uczonych, liczących się z powagą Kościoła, do tworzenia gruntowniejszych uzasadnień swego stanowiska.

Należy nadto wziąć pod uwagę także i to, o czym już wspominałem, że tych pozornych kolizji między wiarą i nauką mamy w ciągu historii b. nie wiele do zanotowania. W dziedzinie n.p. nauk przyrodniczych dwie tylko, o ile sobie przypominam, wystąpiły dotychczas w sposób wyraźny, a mianowicie związane z odkryciem Kopernika oraz teorią Darwina o ewolucji gatunków.

Kolizje prawdziwe są przede wszystkim b. mało prawdopodobne ze wzglę-

du na b. ogólny, jeśli chodzi o rzeczywistość zmysłową i czysto naturalną, charakter dogmatów, w których ramach dadzą się przeto pomieścić najrozmaitsze teorie naukowe. Po drugie, o ile by przypadkiem gdzieś wystąpiły, to musiałyby być wywołane błędem nauki, który na pewno z czasem uległby sprostowaniu, czyli, że i w tym wypadku kolizja mogłaby mieć charakter tylko przejściowy. (Widoczne jest, że w tym drugim przypadku zajmą punkt widzenia możliwy do przyjęcia w pełni tylko ze stanowiska katolickiego).

Reasumując, można by powiedzieć, że norma negatywna, jaką stanowi wiara dla nauki, jeśli chodzi o jej wyniki, posiada więcej teoretycznego, niż praktycznego znaczenie.

Ważniejszym praktycznie, moim zdaniem, byłby postulat, który przyjmują zresztą zarówno p. A. Pankowicz, jak i p. J. P. Gawlik, żeby etyka katolicka była źródłem normy negatywnej dla metody badań naukowych. Odnosi się to jednak nie tylko do eksperymentalnych nauk przyrodniczych, w której to dziedzinie uczeni niemieccy przeprowadzali jeszcze nie dawno zbrodnicze doświadczenia na ludziach, ale również do nauk humanistycznych, których wyniki bywają fałszowane dla celów np. politycznych, czego znów nauka w Niemczech hitlerowskich dawała jaskrawe przykłady.

Normy negatywne wiary znajdują również ważne zastosowanie przy wnioskach natury filozoficznej z ezce gółowych badań naukowych.

Warto tu jednak podkreślić, że wnioski te pozostają najczęściej w bardzo luźnym związku logicznym z wynikami ściśle naukowymi, opartymi zatem na doświadczeniu i dlatego często właśnie czynniki irracjonalne np. względy uczuciowe odgrywają w nich pierwszorzędą rolę.

# BABIEJ GÓRY

nym, które daje wijąca się w męce dusza ludzka, w jakąś niezmierną aureole tęsknoty i świetlistej miłości otoczona jest czystość, doskonałość, prawda. Zaiste — rzadko kto oddaje wirtuozerię pióra, urzekającą giętkość i subtelność języka, polszczyznę przebogata, arcybarwną, nieporównaną, mistrzostwo nie zwykłe i w swoim rodzaju jedyne na usługi tak ważkich i tak głębokich spraw moralnych. Przypomniało mi się wszystko złe i kąśliwe krytyczne, co mówi się dzisiaj o Żeromskim — pisarzu: że „młodo polski”, historyczny, naiwny, że barok językowy, że nieudolność konstrukcji... Prawda, prawda — ale jakżeż mała jest owa prawda, wobec pulsującego na tych stronach Serca Nienasyconego, które potrafi przeczłystać, strząsnąć z siebie wszelkie, na pozór je krępujące konwencje literackie swojego czasu. To nie jest istotne, to się daje obłuskać i ukazać się wtedy wewnątrz, z którego jakiś żar bucha! Daj nam Boże dzisiaj takiego pisarza! Przypomniało mi się też, że „Dzieje Grzechu” uznano kiedyś za powieść niemoralną. Któż mógł tak dalece nie pojąć wewnętrznej czystości tej książki istotnego, najistotniejszego potępienia zła, jakie ona zawiera, jakie zawiera dzięki temu właśnie, że ma oczy otwarte na wszystkie zewnętrzne, pozorne tego zła uroki, pokusy, piękności. Któż

to tak się dalece zaabsorbował realizmem scen erotycznych, iż nie dojrzał jakimuś moralnemu celowi, jakiej głębokiej prawdzie ten realizm służy, jak jest, przy swej całej zmysłowości — bolesny?

Wróciłem do łóżka, próbowałem spać, lecz nie udało mi się. Czuję się tym przeżyciem odmieniony, oczyszczony, podniesiony: więc przy całej demoralizującej robocie literackiej, przy ciągłym ocieraniu się o zawodowych „fabrykantów dreszczy”, kokietujących swym otwartym wnętrzem jak wystawą sklepową, jak stoiskiem na bazarze, zachowałem jednak jeszcze nieco wrażliwości, która choć raz pozwoliła mi bez „fachowo-krytycznych” nędných faramuszków odzwać bolesny, tragiczny wysiłek wielkiego ducha. Było to prawdziwe przeżycie: literackie i nieliterackie.

Długo leżałem, wpatrzony w co raz rześciciej oświetlony wierzchołek Babiej Góry. Wreszcie na dole dał się słyszeć głos staruszki: przemawiała śpiewnie do psa i do kozy. Trzeba wstawać. Twarz miałem okopconą od naftowej lampy. Umyłem się, ubrałem i zeszedłem na dół. — Ależ to i z pana ranny ptak — zaśpiewała mi starowinka na przywitanie. — A jakżeż się tam panu spalo? — Nie spałem wcale — mówię — czytałem książkę. — A jakąż to, jeśli łaska? — A tu, od pani z kredensu wziąłem „Dzie

je Grzechu”. Staruszka z przerażeniem plasnęła rękami. — „Dzieje Grzechu!” — Toż tego czytać nie wolno, toż grzech ciężki, rozgrzeszenia pan nie dostanie! (Zaręczam, że nic nie kołoryzuję — słowo w słowo tak było). — Dlaczego? — pytam z głupia frant. — Jakto dlaczego? — Taż to na indeksie — pan nie wiedział? — Nie wiedziałem — mówię. — A pani czytała? — Czytałem — ale ksiądz bardzo się gniewał. Taż książka okropna! Tego czytać nie trzeba.

Po śniadaniu wszcząłem sprawę znowu. — Czy pani uważa, że to jest naprawdę książka niemoralna? — zaczynam. — Że autor miał nie moralne cele? — Nie, to nie — po wiada stara — ale okropne przedstawił rzeczy. — Dobrze — nalegam — ale one budzą odrazę, potępił je — prawda? W oczach staruszki zapalają się filuterne ogniki. — Ta dziewczyna — mówi z namysłem — to w gruncie rzeczy była naprawdę dobra i kochała jednego — a upadła przez mężczyznę, przez ich bezceństwo. Tak, tak — wszędzie tylko ta męska sprawa — a dziewczyna była dobra! Tyle rozmowy — więcej już ze starowinki nic nie wyciągnąłem.

Pożegnaliśmy się serdecznie. — Niech Bóg prowadzi — powiedział. Ruszyłem wijącą się pośród góraków szosą, oglądając się często gęsto na oświetlony porannymi pro-

mieniami słońca wierzchołek Babiej Góry. W sercu i umyśle miałem rozterkę. Mam ją do dzisiaj.

Ludzie są omylni, lecz Kościół jest nieomylny i czasowe omyłki ludzkie prostuje. Nigdy nie uwierzę, żeby litera Prawa ważniejsza była niż jego duch. Zaprzeczył temu Ten, co wygnał Faryzeuszów ze świątyni. Dochodzą stąd i zowąd uprzykrzone głosy dyskusji o katolickiej czy niekatolickiej pornografii, o tym, która książka jest, a która nie jest katolicka. Toż nonsensowne nieporozumienie, błąd; pewien wybitny biskup polski powiedział z okazji tej dyskusji: nie ma w ogóle żadnej literatury katolickiej, są tylko katolicy, pisujący książki. Książki te mogą być mniej lub więcej katolickie, to sprawa sumienia ich autorów, lecz nie sprawa Kościoła. Kościół wkacza, gdy widzi wyraźną szkodę dla wiary i moralności, lecz drogi rozwoju katolickiej myśli i sztuki wytyczają jej twórcy: Chesterton, Bernanos czy Mauriac są tu na pierwszym planie — nie ich niepowolani często cenzorzy. Chesterton przedstawił ksenodetektora o Pana Boga upersonifikował w postaci szefa policji politycznej; nie wiem, czy wybaczyłby mu to pan Zawodziński i — prawdę mówiąc — niebardzo mnie to interesuje. Wolę czytać Chestertona!

A „Dzieje Grzechu”? Otóż tu szkopuł — wszak książka trafiła na indeks. „Jeżeli ręka twoja gorszy cię...” Ale jakież są kryteria zgorzenia? Książka to, w moim pojęciu, głęboko moralna. Bywały książki zdejmowane z indeksu. A w założeniu, że nie wolno sugestyjnie przedstawiać rozpusty i zła, choćby nawet w celu tym silniejszego ich potępienia, kryje się podświadoma obawa, że zło sugestyjnie przedstawione może czytelnika rozplomić, skusić, skłonić do stąpienia po jego stronie. Hm. Czy tak jest rzeczywiście? I jakiego czytelnika? Wszak są ludzie, których wyobraźnię rozplomić może kij zatepiony rowany na końcu. Czy i do nich na leży się stosować? Czyż założenie, że realizm pobudza zmysły w każdym wypadku, nie jest nazbyt prymitywne? A czy w Starym Testamencie nie ma obrazów arcyrealistycznych?

Wszystkie te urywki myśli i strzępy dyskusji przebiegają mi przez głowę, gdy wędrowałem tak, pośród z każdą chwilą potężniejszego apau zakurzona podhalańska droga. Oczywiście — piwo znów było w robocie — i to nie jeden raz. Wracałem do domu — niczym Syn Marnotrawny. Przypomniała mi się też przypowieść o robotnikach, co chociaż później przyszli do pracy, otrzymali to samo wynagrodzenie. I o tym, że większa radość z jednego nawróconego... I przypowieść o talentach... I: „Kto z was jest bez grzechu, niech na nią rzuci kamieniem”.

Co to wszystko ma do rzeczy? — spytaicie. Mnie się zdaje, że ma — i to dużo. A o „Dziejach Grzechu” zamierzam porozmawiać z pewnym bardzo światłym księdzem, który zresztą nie brał udziału w dyskusji na temat katolickiej i niekatolickiej pornografii. Lektura tej powieści była dla mnie wielkim wstrząsem moralnym; może jestem wrażliwym, może to skutek zmeczenia, piwa, niewyspania? Może. Ale chyba nie. Mam nawet zamiar wrócić jeszcze do wsi u stóp Babiej Góry i podyskutować ze staruszką z dawnych kresów.

Na Podhalu wieczory bywają rzeźwe, chłodne, krystaliczne a zarazem jakieś fioletowe. Rzeki i strumienie szunią kojąco, choć płyną warko, ostro. Z moich okien słychać ten szum — to Skawa. Piśzę w nocy, rozpaczliwie walcząc z wtajemniczonymi przez okno ćmami, wiel-

kimi nieraz jak żaby. I znowu papier „literatura”, artykułisko. Jakżeż trudno uwolnić się od tej obsesji, od tej małości roboty. A jednak literatura potrafi czasem prowadzić w świat ducha, nawet gdy nie pomija ciała. Sprawdziłem to wszak niedawno, wczytując się w historię tragicznego życia Ewy Pobratyńskiej.

Stefan Kisielewski

Nabyć,  
czytać,  
nie czytać...

Józef Czerni: TESTAMENT MŁODOŚCI, WIZJE I KONSTRUKCJE POETYCKIE, ks. Tujakowski Toruń 1948, str. 124.

Tomik poezji Jozefa Czernego prowokuje nawet w ramach krótkiej recenzji informacyjnej do kilku wstępnych uwag ogólnych. Nie warto ich przekreślać zbyt dyskretnym milczeniem, bo tłumacza wiele spraw istotnych, a w ostateczności — sam „Testament młodości”.

Już od wystąpienia polskiej moderny datuje się w naszej literaturze niezwykle bujny (objętościowo — podkreślam!) rozwój poezji w ogóle, a specjalnie liryki. Między wojną nie było niemal miesiąca bez kilku nowości, które odnotowywał Czachowski, ale i te o których musiał w „Wiadomościach Literackich” pisać Słonimski w przeliterowanej rubryce („Książki najgorsze”). Temu coraz to bardziej wzrastającemu (objętościowo — ilościowo, jeszcze raz przypominam!) rozwojowi poezji, towarzyszył stały jęk krytyków o obniżeniu poziomu, o skazaniu prawdziwej poezji na banicję, o kryzysie liryki itd. Pozorna sprzeczność łatwo wytłumaczyła rozwielmożniła się, tandeta pisarska, za dużo grafomanów wypilo „bruderschafty” z wydawcami, za tani był papier, za mały autorytet słowa drukowanego, zaczęto prawie zbiorowo wydawać falsyfikaty wierszy. Czym się tłumaczy ten popęd Pegazowy, trudno rozstrzygnąć. Osobiście upatruję jego źródła w nieuczuciowości literackiej moderny, która polegała na tym, że np. świetny nowelista Perzyński czuł się moralnie zwolniony z odpowiedzialności za swoje potworne wierszydła. Sami literaci zachwiali szacunkiem dla poety z powołania, dla liryka z natchnienia i talentu. Drugą przyczyną był prawie kosmiczny powiew megalomanii, który owionął w XX wieku inteligencję polską i małopująca za nią półinteligencję. Nie wiem, czy jest to diagnoza słuszna, ale wiem, że wyniki zarażeń były i są przerażające. Nie było i nie ma chyba w ostatnim stuleciu inteligenta, który nie napisałby wiersza o róży. Ojczyźnie lub wdziękach bogdanki. A coraz więcej jest takich, którzy z tej pensjonarsko - sztabackiej ody nie mogą się wygrzebać i wydają tomiki poetyckie w „wiektu dojrzłym”. Tu — problem. I konieczność terapii. Pisało się już o tym duże artykuły, formułowało postulaty, kreśliło moralne zakazy — na metnej wodzie megalomanii. A czas by — chociaż by w imię upowszechniania prawdziwej kultury — wypowiedzieć tej kłesce zasadniczą wojnę. Byłaby to „święta wojna”.

Dlaczego o tym wszystkim piszę przy tomiku Czernego? Bo tomik Czernego jest smutnym symptomem. Poezja zarzona grafomania. Zaraza w Grenadzie. Autor posiada niewątpliwie owo „coś”, co każe mu pisać, ale pisze źle. Banal, wyswiechtana liryczność, nieudolność formalna, nاپuszonosc treści. Z całości wieje smutny zapaszek zielcałej poetyczności, wyziera typowa dla inteligenta XX wieku nonszalancja i pewność siebie, brak szacunku do słowa, jako tworzywa. Czerni reprezentuje typ przedwczesnie realizujących się ambicji, a przez to realizujących się pokracznie, koślawo, tragicznie. W jego „poezji” nie ma poezji, a są błędy gramatyczne („z za mych plec”), jest tandeta formalna, niedojrzałość, brak serca poety. Choć podobno można żyć bez tego. Tak pisał przed wojną jakiś grafoman:

Przyciskałem to miejsce, gdzie  
serca nie było  
I czas przemijał i jakoś się żyło,  
Ale...  
Z. L.

## KATOLICKA

### III.

Normy pozytywne wiary mają, jak słusznie podkreśla p. A. Pankowicz, wielkie znaczenie przede wszystkim jeżeli chodzi o cel nauki.

Nie chodzi tu jednak tylko, ani nawet głównie, jak tego chce p. A. Pankowicz, o, pojęte po katolicku, zamówienie społeczne na opracowanie naukowe pewnych problemów, szczególnie aktualnych — zagadnienie celu nauki, pojęte po katolicku, posiada znacznie głębszy aspekt.

Najbardziej bezpośrednim celem każdej nauki jest poznanie prawdy. Chrześcijaнин jednak wie, że najwyższą prawdą zawierającą i warunkującą wszystkie inne, a więc i te dostępne naszemu poznaniu opartemu na spostrzeżeniach zmysłowych, jest Bóg. I dlatego każdą najwzrostszą nawet prawdę ze świata zjawisk naturalnych odnosi do Boga, jako jej pierwszego źródła. Stąd też całe, dostępne człowiekowi, poznanie rzeczywistości stworzonej, będzie mu mó- wcie pośrednio o Bogu, który jako najwyższa Prawda, stanie się zarazem najwyższym celem nauki, pojętej po chrześcijańsku, a więc również i po katolicku.

Oczywiście, że poznawanie Prawdy osobowej, nawet tak pośrednie i niedoskonałe, jakie jest możliwe w nauce, nie może się obyć bez należytego hołdu. Stąd nie tylko poznanie, ale i uwielbienie Boga będzie ostatecznym celem nauki chrześcijańskiej.

Na to, że cel nauki przedstawiony w sposób powyższy nie jest czymś abstrakcyjnym, lecz posiada istotne znaczenie praktyczne, wskazują przykłady z życia uczonych katolickich i w ogóle chrześcijańskich. Prof. uniwersytetu w Heidelbergu W. Hellpach, w swojej rozprawie na temat roli i granicy czynnika irracjonalnego w nauce, wskazuje na znaczenie

w odkryciach naukowych Newtona idei, podzielanej przez cały ówczesny świat chrześcijański, że wszelkie kosmiczne zjawiska muszą się dać sprowadzić do jednego podstawowego prawa, które Stwórca nadał swemu stworzeniu. Podobne idee ożywiały, podaje dalej W. Hellpach, Roberta Mayera, odkrywcy prawa równowagi różnych postaci energii. Tak samo Kepler podobno całą swoją twórczość naukową pojmował jako po prostu rodzaj apologetyki i świadomie zakładał sobie cel spowodowania większej czci Stwórcy u ludzi przez wydobywanie na jaw piękna i harmonijności praw rządzących ciałami niebieskimi. Spośród współczesnych katolickich uczonych, można by tu wskazać na przykład Maxwella, twórcy elektromagnetycznej teorii światła. Stosunek jego twórczości do religii, charakteryzuje chociażby następujący wyjątek z jego prywatnej modlitwy:

„Wszchemogący Boże, któryś stworzył człowieka na swoje podobieństwo i dałeś mu duszę żyjącą, aby Cię szukał i panował nad Twymi stworzeniami, naucz nas badać dzieła Twych rąk, byśmy zdobyli ziemię dla naszego pożytku i wzmocnili rozum nasz na Twą służbę”. (Cambell — Garnett. The Life of I. C. Maxwell. 323).

Ostatni przykład wskazuje na cel następny nauki, mający już charakter więcej praktyczny — „Zdobycie ziemi dla naszego pożytku”. Wiąże się to właśnie z wysuwaniem przez p. A. Pankowicza postulatami, aby nauka katolicka (zwłaszcza niektóre jej gałęzie, np. nauki społeczne), zwracały swoje wysiłki w kierunku aktualnych potrzeb społeczeństwa oraz Kościoła. Niewątpliwie zadanie to, o ile tylko nie pojmuje się go w sposób ciasny i krępujący swobodę twórczą (o co słusznie troszczy się p. J. P. Gawlik), nie

jest sprzeczne ze wspomnianymi wyżej integralnymi celami nauki, a nawet może dla katolickich uczonych stanowić dodatkowy bodziec do rozwinięcia intensywniejszej działalności naukowej.

Modlitwa Maxwella nasuwa jeszcze jedną uwagę: Religia katolicka dostarcza nauce nie tylko norm negatywnych i pozytywnych, ale jest również dla niej źródłem siły i pomocy w szukaniu wszelkiej prawdy.

### IV.

Pozostaje jeszcze do zdeklarowania czy wszystko, co można powiedzieć o normach pozytywnych i negatywnych, jakie religia katolicka nakłada na naukę, o siłach twórczych jakimi zdolna jest ją obdarzyć — uprawnia nas ostatecznie do stosowania terminu „nauka katolicka”.

Słusznie p. J. P. Gawlik podnosi fakt, że poza naukami teologicznymi trudno jest wskazać w innych dziedzinach na odrębną, specyficzną naukę katolicką, mimo, że niewątpliwie pewne koncepcje i teorie naukowe będą bardziej odpowiadać duchowi katolicyzmu, inne zaś mniej. Przyczyna tego jest, moim zdaniem, prosta i stanowi ją właśnie uniwersalny charakter religii katolickiej. Uświęca ona bowiem i doskonali wszystkie przejawy życia ludzkiego, również zatem natury intelektualnej, nie zakreśla jednak temuż życiu wąskich granic sekcji ciarstwa, lecz przeciwnie pozwala mu rozkwitać tak bogato i szeroko, jak tego chce sam Stwórca. Dlatego termin „nauka katolicka” można, moim zdaniem, używać tylko w znaczeniu nauki, liczącej się z normami negatywnymi i pozytywnymi wiary katolickiej oraz korzystającej, możliwie najpełniej, ze środków, jakimi religia katolicka zasila każdy godziwy przejaw życia fizycznego lub duchowego.

Andrzej Staronka

# PRZEGLĄD PRASY BRYTYJSKIEJ

## KONFERENCJA W LAMBETH PALACE

W Lambeth Palace w Londynie rozpoczęła się dnia 1 lipca 8 Konferencja biskupów anglikańskich. Prasa brytyjska poświęca wiele miejsca obradom biskupów, podkreślając ich znaczenie dla kościoła anglikańskiego.

„Manchester Guardian Weekly” w numerze z dnia 8 lipca określa nieoficjalny charakter konferencji:

„Zjazdy biskupów w dalszym ciągu nie mają oficjalnego statutu i znaczenia. Są konferencją, a nie synodem i charakter ich jest prywatny. List pasterski i sprawozdanie ogłaszane po zakończeniu obrad nie mają obowiązującej mocy. Autorytet z szczytu polega na powadze grupy dobrych ludzi, którzy przed rozpoczęciem obrad wzywają pomocy Ducha Św.”.

Daiej „Manchester Guardian Weekly” podaje historię tej instytucji.

„Dzięki swemu położeniu geograficznemu Anglia początkowo nie odczuła skutków zerwania z Rzymem za Henryka VIII. Brak łączności z resztą świata katolickiego niewiele znaczył dla wyspiarskiego narodu. Trudności wynikłe z tego stanu rzeczy dały się jednak odczuć wygnaniem za czasów królowej Marii i republiki, Emigracja do „Plantacji” rozszerzyła zasięg Kościoła Anglikańskiego na wszystkie kolejno powstające kolonie w Ameryce, Australii, Południowej Afryce i nawet w Indiach. Rozrost imperium rozszerzał władzę biskupstwa Canterbury. Kościół narodowy stał się kościołem imperialnym...

Statuty kolonialnych diecezji były niejasne i nieokreślone. Coraz konieczniejsza stawała się jakaś forma łączności z kościołem macierzystym. Nieoczekiwany wypadek spowodował nawiązanie tej łączności”.

W latach od 1861 do 1863 biskup Natalu, Colenso, podlegający biskupowi w Capetown, wydał dwie prace teologiczne, w których podawał w wątpliwość wiarygodność Starego Testamentu. Robert Gray, biskup Capetown, po bezskutecznych namowieniach postanowił oddać sprawę swojego sufragana do sądu. Ponieważ episkopat angielski uchylił się od odpowiedzialności sądenia biskupa, Gray powołał własny sąd metropolitalny, który złożył biskupa Colenso z urzędu. Colenso apelował do Rady Królewskiej, która stwierdziła, że Gray nie miał prawa powoływania sądu metropolitalnego. Do końca swego życia Colenso trzymał się na stanowisku biskupa Natalu, mimo ekskomunikacji Gray'a. Spór biskupów wstrząsnął całym światem anglikańskim.

Około 1865 echa tej sprawy dobiegła do Kanady. Biskupi zwrócili się do Arcybiskupa Canterbury, łagodnego C. T. Longley'a, o zwolnienie synodu całego episkopatu anglikańskiego, który by wrócił spokój Kościołowi. Arcybiskup początkowo odmówił, ale na powtórne żądanie zwołał we wrześniu 1867 r. zjazd biskupów do Lambeth (stąd nazwa Konferencji). Na 144 zaproszonych przybyło 76. Nawet w Anglii nie wszyscy biskupi przychylnie ustosunkowali się do tego kroku nie mającego precedensu w historii. Zjazd wyłonił komitet, który miał rozpatrzyć sprawę Colenso. Komitet powstrzymał się jednak od wydania jakiegokolwiek orzeczenia...

Zjazd biskupów na wspólną konferencję przetransformował Kościół Anglikański we Wspólnotę Anglikańską. Od r. 1867 episkopat anglikański zbiera się co 10 lat w Lambeth. Ilość uczestników każdej kolejnej Konferencji wzrasta; pierwotna liczba 76 biskupów doszła w tym roku do 324”.

Konferencja w r. 1888 ustaliła 4 podstawy anglikańskiej „jedności chrześcijańskiej”: 1. Biblia. 2. Credo. 3. dwa sakramenty Ewangelii. 4. historyczny episkopat. Konferencja w r. 1920 wysunęła projekt zjednoczenia wszystkich wyznań chrześcijańskich z Kościołem Katolickim włącznie. Zjednoczenie to miało polegać na wzajemnym uznawaniu przez kościoły ważności święceń swoich duchownych z jednoczesnym zachowaniem swoich odrębności.

Hasłem tegorocznej Konferencji w Lambeth jest „Bóg w Swoim Świecie i w Swoim Kościele”. „The Times Weekly” z 7 lipca podaje ważniejsze problemy, nad którymi zebrani biskupi będą obradować: chrześcijańska nauka o człowieku, stosunek człowieka do natury i do Boga, chrześcijańska Ewangelia dla człowieka, chrześcijański styl życia, Kościół a świat współczesny. To ostatnie zagadnienie obejmuje różne formy nowoczesnego bałwochwalstwa.

„W związku ze sprawą jedności Kościoła, stosunek Kościoła Anglikańskiego do świeżo utworzonego Kościoła Południowych Indii jest zagadnieniem wymagającym, jak najszybszego uregulowania i wywołującym najwięcej kontrowersji. Autonomiczny Kościół Południowych Indii, który powstał zeszłej jesieni przez połączenie 4 ówczesnych diecezji anglikańskich z kilkoma nieepiskopalnymi kościołami w Południowych Indiach, nie wchodzi w skład Kościoła Anglikańskiego. To ryzykowne posunięcie wywołało wiele różnic w poglądach duchownych anglikańskich i wynik obrad biskupów jest oczekiwany z niecierpliwością”. („The Times Weekly”, 7 lipiec).

„Time and Tide” z 3 lipca podaje dwa inne zasadnicze problemy, oprócz sprawy Kościoła Południowych Indii, którymi biskupi będą musieli się zająć.

„Drugim zagadnieniem jest sprawa małżeństw i rozwodów. Dane statystyczne dotyczące rozwodów są przerażające. Liczba rozwodów z 494 w r. 1900 wzrosła do 40.000 w r. 1947, a w roku bieżącym może dojść do 50.000. Krzywdą wyrządzana dzieciom przez rozwody jest bardzo poważna. Zdaniem wielu ludzi najgorszym złem nurtującym nasz naród są właśnie rozwody. Dla Kościoła jest to bardzo poważny problem i biskupi w Lambeth będą go musieli rozstrzygnąć. Ludzie rozwiedzeni nie mogą zawierać powtórnych małżeństw w kościele. To jest jasne i ogólnie przyjęte. Nie jest natomiast jasne na jakich warunkach ludzie, którzy przez rozwód i powtórne małżeństwo przekroczyli prawo kościelne, mogą wrócić do Kościoła. Nie wiadomo też czy odprawianie dla nich jakiegoś nabożeństwa i udzielanie im błogosławieństwa, oczywiście nie według oficjalnego ceremoniału anglikańskiego, jest zgodne z prawem. Konferencja będzie musiała powziąć jakieś decyzje w tych sprawach. Wielu biskupów będzie się z pewnością domagało, żeby w przyszłości wszystkie małżeństwa były zawierane w świeckich urzędach stanu cywilnego, a kościelny sakrament małżeństwa był udzielany tylko tym parom, które chcą uznawać prawa kościelne. Nie można przecież stosować praw Kościoła do tych, którzy nie są jego członkami.

Trzecim problemem jest chrzest. Od dłuższego już czasu duchowieństwo patrzy z wzrastającym niepokojem na sprawę chrztu. Znany słowa Pana „pozwólcie dzieckom przyjść do mnie”. Chrzest dzieci jest tradycją długich pokoleń. Z drugiej jednak strony jest niezaprzeczalnym faktem, że wielu rodziców uważa chrzest za rodzaj duchowego szczepienia ospy. Rodzice setek chrzczonych dzieci nie mają najmniejszego zamiaru wychowywania ich w bojaźni Bożej. Do tego należy jeszcze dodać, że instytucja chrzestnych rodziców jako duchowych opiekunów, a nie tylko honorowych opieków i wujów, prawie zupełnie zanikła i z trudem będzie mogła być wznowiona. Wielu ludzi pragnie powrócić do zwyczajów pierwotnego kościoła, według których chrzest, bierzmowanie i pierwsza Komunia były odrębnymi częściami jednej i tej samej ceremonii przyjęcia do Kościoła. Udzielane były po długich przygotowaniach tylko tym, którzy byli dostatecznie dorośli, żeby je zrozumieć. Jeśli zwolennicy tego poglądu zdobędą przewagę trudno będzie utrzymać zwyczaj chrzczenia dzieci”.

Dla katolików problemy, którymi zajmie się Konferencja w Lambeth są dosyć dziwne i niezrozumiałe. Tłumaczy je do pewnego stopnia pogląd dr Inge na istotę Kościoła Anglikańskiego cytowany przez „Manchester Guardian Weekly” (8 lipiec):

„Kościół Angielski ma tylko jedną, ale mocną, podstawę istnienia. Jest nią reprezentowanie religii narodu angielskiego w takim stopniu, w jakim nie może reprezentować jej żadna inna instytucja”.

W związku z powstaniem Kościoła Południowych Indii katolicki „The Tablet” z 26 czerwca ocenia dążenia do zjednoczenia kościołów protestanckich jako dosyć realne, zaznaczając jednak, że nie są to pierwsze próby tego rodzaju:

„Pierwsze wysiłki mające na celu stworzenie panprotestanckiego kościoła miały miejsce w r. 1543, kiedy to Cranmer pisał do Melancthona i Kalwina przedstawiając konieczność zwolnienia zgromadzenia duchownych protestanckich do Anglii, jako najbezpieczniejszego miejsca, dla opracowania wspólnego wyznania wiary. Cranmer obawiał się, że różnice między sektami protestanckimi mogą być powodem pogardy ze strony Kościoła Katolickiego”.

W Konferencji między innymi biorą udział biskupi Murzyni, Japończycy i Chińczycy. Obrady, którym przewodniczy Arcybiskup Canterbury dr Fisher, faktyczna głowa Kościoła Anglikańskiego, trwały do 6 sierpnia.

## WYSTAWA OBRAZÓW W PARKU

Nowością w kulturalnym życiu Londynu są wystawy obrazów i rzeźb młodych artystów, odbywające się w publicznych parkach i ogrodach. Mają one już swoją popularną nazwę „wystaw na świeżym powietrzu”. Niedawno otwarta została wystawa obrazów w Embankment Gardens nad Tamizą. Poziom artystyczny ekspozycyj jest dosyć nierówny. Obok oryginalnych prac dobrze zapowiadających się młodych malarzy wiszą obrazy mało wartościowe. „Tribune” zamieszcza ciekawy artykuł na ten temat.

„Tłumy zwiedzających przeszły wszelkie oczekiwania. Sprzedano dosyć dużo obrazów, przeważnie w cenie kilku gwinej, czym zrobiono niezły kawał handlarzom dziełami sztuki. Jeśli publiczność w dalszym

ciągu uważa, że morskie krajobrazy o zachodzie słońca i kwiaty w wazonach są „prawdziwymi obrazami”, to jednak bardziej modernistyczne prace również przyciągają jej uwagę. Niektórzy młodzi malarze twierdzą, że wystawa umożliwiła im nawiązanie kontaktu z nową publicznością. Zdaniem ich powojenna młodzież, mimo, że nigdy dotychczas nie widziała „prawdziwego” malarstwa, zadaje bardzo inteligentne pytania. Czy nie należałoby wobec tego utrzymać wystaw tanich obrazów na świeżym powietrzu na stałe, właśnie tu, w tym wiktoriańskim parku nad Tamizą?

Co przemawia przeciw temu pomysłowi? Jeśli powojenna młodzież uważa, że może się przyczynić do realizacji hasła „sztuka dla mas”, to dlaczego nie miałyby spróbować swoich sił? Po kilku takich wystawach artystyczna wartość obrazów może się znacznie podnieść.

Jesteśmy świadkami poważnych przemian społecznych w Anglii. Wielkie Imperium Brytyjskie, którego wielkim odbiciem są mury Londynu, było sztywne, zmaterializowane i na ogół głęboko filisterskie. Sport był jego główną letnią atrakcją: cyklistyka; mecze Eton i Harrow, Oxford i Cambridge; stroje na wyścigach w Ascot; polo w Ranelagh, regaty w Henley. Sztuka też była jednym z punktów programu letniego sezonu. Otwarcie wystawy malarstwa w Akademii Królewskiej, gdzie rozbudowane tłumy oglądały portrety możnych tego świata, pędzla drogiej malaryzacji i kupowane przez bogaczy. Wspaniałe stroje na operach w Covent Garden. Białe krawaty i powierzchowne zachwyty nad premierami teatrów dzielnicy West End (Shakespeare był wygnany do starego teatru na South Bank). To był jednak rytuał tylko wyższych sfer. Nikogo nie obchodziły artystyczne zainteresowania pozostałych dziewięciu dziesiątych społeczeństwa.

Ten stan rzeczy już się poważnie zmienił. Obecnie arystokratyczny rytuał, pieniądze i część imperium przeminęły z wiatrem. Kogo z outsiderów obchodzi dziś mecz Eton i Harrow? Rewolucja, którą przeżywamy ma również i pozytywne strony. George Orwell pisał parę lat temu, że zupełnie nowym zjawiskiem w Anglii lat trzydziestych są „ludzie nieokreślonej klasy społecznej”. Młodzież tej właśnie „nieokreślonej klasy” tłumnie zwiedza wystawy malarstwa i rzeźby na świeżym powietrzu, stoi w ogonkach po bilety na operę, balet, i sztuki Shakespeare'a, popiera małe teatry i poważne sztuki w teatrach regionalnych, organizuje amatorskie zespoły teatralne i studiuje sztukę... Wzrost zainteresowania sztuką w powojennej, zmniejszonej i zubożonej Anglii nie wpłynął dotychczas na podniesienie jej poziomu, ale i to przyjdzie z czasem”.

## NARODOWA SŁUŻBA ZDROWIA

Dnia 5 lipca 1948 weszły w życie ustawy o Narodowej Służbie Zdrowia i Ubezpieczeniach.

Ustawa o Narodowej Służbie Zdrowia gwarantuje wszystkim obywatelom opiekę lekarską i bezpłatne leczenie w szpitalach i ośrodkach zdrowia. Przez dłuższy czas trwały pertraktacje między Ministerstwem Zdrowia a Brytyjskim Towarzystwem Lekarskim. Początkowo lekarze odrzucili propozycję Ministerstwa, bojąc się utracić praktykę prywatną. Ostatecznie jednak obie strony zgodziły się na pewne ustępstwa i 17.000 lekarzy zgłosiło się do współpracy z państwem w ramach

nowej ustawy. Dentyści natomiast w dalszym ciągu nie uznają uspołecznienia służby zdrowia. Według tej ustawy lekarze otrzymują pensje i mają obowiązek bezpłatnego leczenia ubezpieczonych pacjentów, zachowują jednak w dalszym ciągu prawo praktyki prywatnej.

Dotychczas obowiązkowi ubezpieczenia podlegali tylko najemni pracownicy. Nowa Ustawa o Ubezpieczeniach obejmuje również samodzielnych przedsiębiorców, wolne zawody i osoby niepracujące (emeryci, osoby żyjące z kapitału etc.). Według nowej ustawy składki ubezpieczeniowe pracowników i pracodawców są znacznie wyższe, ale i zasiłki wypłacane w razie choroby, utraty pracy, renty wdowie etc. są również proporcjonalnie wyższe.

Prasa brytyjska, z nielicznymi tylko wyjątkami, pozytywnie ocenia obie nowe ustawy, podkreślając jednak duże trudności, z jakimi należy się liczyć przy wprowadzaniu ich w życie. Nawet pisma, przeciwnie ustawom w pełni doceniają ich przemotomowe znaczenie w społecznej historii Wielkiej Brytanii.

„5 lipiec 1948, dzień wejścia w życie ustaw o Narodowej Służbie Zdrowia i Ubezpieczeniach będzie ważną datą w historii przemian społecznych Wielkiej Brytanii. Druga z powyższych ustaw usuwa z przed całego narodu widmo nędzy. Wielu ludzi będzie jednak w dalszym ciągu żyło w bardzo ciężkich warunkach i Narodowy Komitet Pomocy, stworzony dla spraw, w których przepisy ustawy o Ubezpieczeniach okazały się niewystarczające, będzie miał wielkie pole do działania. Ustawa ta jednak jest tylko przedłużeniem i racjonalizacją systemu, który istnieje już od blisko 40 lat. Ustawa o Narodowej Służbie Zdrowia jest zupełnie nowym wyrazem troski państwa o fizyczne zdrowie obywateli. Potrzeba stworzenia ogólnej służby zdrowia jest niezaprzeczalna. Brytyjskie Towarzystwo Lekarskie w pełni zrozumiało tę potrzebę, niezależnie od różnic w poglądach na plan i metody pracy w tej dziedzinie. Należy podkreślić, że nowy prezes Brytyjskiego Towarzystwa Lekarskiego, Sir Lionel Whitby, w swoim przemówieniu położył nacisk na istotę nowego systemu opieki lekarskiej, na zasadę, że zdrowie nie może być uzależnione od stopnia zamożności, o ile odpowiednia opieka lekarska może zapewnić zdrowie.

Biorąc pod uwagę poprzednie tarcia między Ministerstwem a przedstawicielami zawodu lekarskiego należy pozytywnie ocenić fakt przystąpienia 17.000 lekarzy do pracy w ramach Narodowej Służby Zdrowia. Nie ma już potrzeby o tych tarcjach mówić. Mr. Bevan poszedł na duże ustępstwa wprowadzając poważne zmiany w pierwotnej redakcji ustawy. Lekarze ze swej strony dali do wód zrozumienia i poczucia odpowiedzialności, zmieniając swe poprzednie negatywne stanowisko. Nikt nie ma wątpliwości, że wprowadzenie tego eksperymentu napotka na wiele trudności. Mamy o wiele za mało lekarzy i pielęgniarek. Większość dentystów trzyma się jeszcze z daleka. Na ośrodki zdrowia, które mogłyby być bardzo pomocne lekarzom nie posiadającym własnych gabinetów i koniecznym wyposażenia, będziemy musieli czekać dopóki przemysł budowlany nie będzie dysponował większymi środkami. Akcja ta jednak jest konieczna i nie należy zrażać się trudnościami i niepowodzeniami. W miarę zdobywania doświadczenia będzie

my wprowadzali zmiany i ulepszenia. Początkowy okres będzie ciężki zarówno dla lekarza, jak i pacjenta. Od pacjenta szczególnie będziemy oczekiwać zrozumienia trudności, z którymi będzie walczył lekarz. Pomimo wszystkich tych przeszkód naród nasz będzie miał wkrótce najlepiej zorganizowaną opiekę lekarską na świecie”. („Spectator”, 2 lipiec).

Nawet „The Economist” (3 lipiec), odnoszący się zwykle z rezerwą do posunięć rządu zajmuje podobne stanowisko.

„W przyszłym tygodniu wchodzi w życie najpełniejszy system opieki społecznej, jaki świat dotychczas widział. Każda z jego czterech części ma zasadnicze znaczenie. Ubezpieczenie na życie obejmuje całą ludność. Ubezpieczenie od wypadków przy pracy i chorób nabytych podczas pracy obejmuje całą ludność pracującą. Przez utworzenie

Narodowego Komitetu Pomocy państwo gwarantuje minimalny dochód każdemu obywatelowi nie posiadającemu innych środków do życia i przekreśla ostatecznie dawne Prawo Ubogich. Narodowa Służba Zdrowia zapewni bezpłatną opiekę lekarską i dentystyczną oraz leczenie w szpitalu każdemu mężczyźnie, kobiecie czy dziecku w kraju”.

W dalszym ciągu artykułu „The Economist” zwraca uwagę na bardzo ciężką sytuację gospodarczą Wielkiej Brytanii zarówno w chwili, kiedy ustawy były uchwalone, jak i obecnie, kiedy wchodzi w życie i podkreśla trudności ich realizacji.

„Beveridge Report zyskał poparcie społeczeństwa przez prostotę swego celu — zniesienia nędzy. Wprowadzony został jednak w czasie wojny, kiedy cały naród był zjednoczony w pracy dla zwycięstwa. System opieki społecznej oparty na Beveridge Report został

uchwalony w znacznie mniej pomyślnych warunkach. Obecne trudności są próbą, w której naród będzie mógł wykazać wolę pracy i zdolność zaparcia się siebie. Jeśli zdamy ton egzamin, nasz śmiały i na szeroką skalę zakrojony plan będzie budził podziw i zazdrość innych narodów demokratycznych. Nie wzbudzi jednak niczyjego podziwu, jeśli okaże się jeszcze jednym prawem zbankrutowanego i zemerytowanego narodu”.

„The Observer” z 4 lipca przytacza pewne niekonsekwencje Ustawy o Ubezpieczeniach:

„Narzekania drobnych przedsiębiorców samodzielnym są usprawiedliwione. Sprawa tkaczy - chałupników na Hebrydach została przedstawiona do rozpatrzenia ministerstwu. Zostali oni zaklasyfikowani jako sub-kontrahenci i wobec tego muszą płacić wyższe stawki, tj. 6 szylingów 2 pency tygodniowo, ale

w wypadku utraty pracy nie są uprawnieni do pobierania zasiłku dla bezrobotnych. W podobnym położeniu są przychodnie służące. Panuje widać miłe zdumienie, że człowiek nie pozostający w najemnym stosunku pracy niezależnie od swego położenia, nigdy nie może być bezrobotny”.

„The Tablet” (3 lipiec) reprezentuje typowe angielskie, indywidualistyczne stanowisko.

„Mr. Paul Derrick w „New English Weekly” bardzo słusznie nazwał dzień 5 lipca „dniem zależności”. Wszyscy dziś są zajęci sytuacją polityczną Europy i sprawami gospodarczymi. Mało kto więc zwróci uwagę, że dzień ten jest dalszym krokiem w smutnej abdykacji, abdykacji wspaniałej tradycji, w której Anglia przewodziła Europie. Tradycją tą była wydajna, ochotnicza współpraca, tworzenie instytucji, do których ludzie mogli przystę-

pować albo nie, zależnie od swojej woli. To zostało obecnie zastąpione obowiązującymi rozporządzeniami opiekuńczego państwa, które dba o dobre warunki dla wszystkich robotników na plantacji, żeby mogli tym lepiej pracować”.

„The Spectator” (23 lipiec) oburza się na niektórych lekarzy, odmawiających zamożniejszym pacjentom bezpłatnych porad.

„Dobrze się stało, że postępowanie pewnej liczby lekarzy, którzy z tych czy innych względów odmawiają bezpłatnego leczenia, zostało poruszone w Izbie Gmin w poniedziałek... Lekarze, którzy podjęli się obowiązków, przewidzianych przez ustawę są moralnie i prawnie odpowiedzialni za spełnianie tych obowiązków. Powtarzamy, że tylko niewielka liczba lekarzy postępuje pod tym względem niezgodnie z etyką zawodową. Sami lekarze powinni przywołać ich do porządku”.

Walenty Majdański

# D Z I W N E T A B L E T K I

Wrocławskie „Słowo Polskie” z dnia 13-go lipca zamieszcza notatkę, w której między innymi powiada:

„W połowie lipca odbędzie się rozprawa przed Sądem Okręgowym przeciwko Elżbiecie N., oskarżonej o spędzenie płodu przy pomocy tabletek, oraz przeciwko Franciszkowi H., który nakłonił oskarżoną do tego czynu... Gdy Elżbieta N. zaszła w ciążę Franciszek H. nakłonił przyjaciółkę do spędzenia płodu i wręczył jej na ten cel 1.000 zł, za które kupiła ona pewną ilość bliżej nieznaną tabletek, po zażyciu których nastąpiło zniszczenie płodu. Rozprawa wykaże stopień winy oskarżonych”.

Z notatki wynika, że na Ziemiach Odzyskanych, gdzie każde dziecko polskie, to czynnik polskiej racji stanu, sprzedaje się tabletki, służące do zabijania... polskich dzieci nienarodzonych. Bo czymże innym jest spędzenie płodu, jak nie zabiciem dziecka nienarodzonego? Jak często zdarzają się takie fakty na Ziemiach Odzyskanych i któż to bada? Kto prowadzi statystykę strat ludnościowych, po chodzących z takich faktów, na zachodzie Polski? A przecież niszczenie w ten sposób płodów ludzkich, to nie tylko niszczenie dzieci: to także niszczenie zdrowia matek, bo medycyna potępia dziś jednogłośnie używanie takich środków do wewnątrz jako zatrzymujących nie tylko płód, ale przynoszących szkodę zdrowiu kobiety.

Franciszek H. wręczył Elżbiecie N. na ten cel 1.000 złotych. A więc wynikałoby z tego, że tabletki takie nie są tanie. Ci tedy, co handlują takimi tabletkami, robiliby dobre interesy. Interesy... ze sprzedaży środków dzieciobójczych... w wyludnionej Polsce, liczącej dziś o 12 milionów ludzi mniej, niż Polska przedwzrostowa.

Ciekawe też byłoby sprawdzić, kto produkuje tabletki dzieciobójcze i czy przypadkiem nie jest to wyrób krajowy. A jeśliby taka zabójcza dla Państwa produkcja odbywała się w kraju, należałoby ustalić, kto udzielił oraz udziela ze zwoleń na prowadzenie takich zakładów „przemysłowych” i prowadzenie takiego „handlu”.

Autor wspomnianej notatki powiada: „Rozprawa wykaże stopień winy oskarżonych”. Otóż nie tylko chodzi o oskarżonych, bo należałoby się dowiedzieć od oskarżonych, gdzie nabyli tabletki, by —

z koleją — oskarżyć kogoś więcej: mianowicie ewentualnych producentów oraz sprzedawców, i dzięki temu wyrwać z korzeniami ogniska tak antypaństwowej i antyzdrowotnej produkcji — jeśli ona istnieje w kraju, tudzież wykorzenie sprzedawcy, która stanowi fakt bezsporny. A dodać należy, że już trzy lata temu można było słyszeć o tym, że pewne przedsiębiorstwo — bodajże śląskie — poszukuje agentów do rozsprzedawania tabletek o podobnym przeznaczeniu.

Więcej — i to źródłowych wiadomości w tej sprawie — mogłyby władzom państwowym dostarczyć apteki i drogerie, których pewna ilość trudni się sprzedażą innych środków dzieciobójczych, o czym każdy wie, ale o czym wszyscy milczą.

## RÓWNOUPRAWNIENIE KOBIEI I DYREKTOROWIE

Na terenie tegoż województwa wrocławskiego jest miasto Z., a w nim zasłużony szpital, niestety, znany do niedawna także z masowego przerywania ciąży. Od roku, na szczęście, już nie ma tam tych przestępstw. Zawdzięcza się to za zwyczaj bohaterkiej postawie kilku jednostek: bo ciężko bywa w takich sprawach, gdyż dla lekarzy płynie z przerywania ciąży „grubsza forsa”, a i szatan ma z tego gratkę nielada, gdy lekarze przynoszą mu ofiary w postaci zabijanych niewinnych dzieci nienarodzonych; poza tym nigdy nie brak wpływowych osobników, zainteresowanych w tym, by mieć gdzie przy syłać na „operacje” swoje kobiety.

Lecz czy nie popełnia się przerywania ciąży i w innych szpitalach na Ziemiach Odzyskanych? Kto to kontroluje? I kto kontroluje położne „udzielające wszelkiej pomocy”? Pamiętam, gdy w roku 1946 przyjechałem do Wrocławia, uderzyło mnie, że na każdym niemal słupie, począwszy od dworca Nadodrzańskiego, widziałem ogłoszenie jakiejś akuszerki, bodajże z ulicy Śtałina, które wydało mi się podejrzane. Chciałem się czegoś pewnego dowiedzieć o tej położnej, w tym celu pytałem tu i ówdzie. Rozkładano bezradnie ręce: — „Nie wiemy o niej nic złego, ale nawet gdyby to była zbrodniarka, nie łatwo byłoby ją złapać” — odpowiadano. Po siedłem tedy do niej sam. Oczywiście, wyznała mi, że „tego” nie robi. I na tym koniec. Bo cóż ja, przyjezdny, mogłem zrobić więcej!...

Dziwniejsza rzecz spotkała mnie w czerwcu tego roku w Katowicach. Powiedziano mi: dopóki szefowie będą zmuszali do uległości swe urzędniczki, dopóty będą przerywania ciąży. Zjawisko to wygląda wręcz nieprawdopodobnie w czasach demokracji i to w dzielnicy najbardziej robotniczej. Przecież to byłby ohydny wyzysk kobiety! Co na to „Liga Kobiet”? Co na to jej oddziały śląskie? Czy np. przy należności do „Ligi Kobiet” gwarantuje członkiniom bezpieczeństwo... od takich dyrektorów?

## LEGALISTOM POD UWAGĘ

Gdy o tych sprawach mówię, zwłaszcza z kimś z prawników, kiwają smętnie głowami. „Proszę pana — tłumaczą — nic się w tej sprawie nie robi, dopóki istnieje u nas w tej dziedzinie przedwojenne ustawodawstwo. Bo cóż, co najwyżej można nastraszyć lekarza - dzieciobójcę, czy także szpital, wizytą prokuratora! Ale tak bywa, że gdy prokurator przychodzi, to w odpowiedniej książce szpitalnej przy każdej adnotacji o przerywaniu ciąży spostrzeżę uwagę, że uczyniono to legalnie, bo na podstawie podpisu, uzyskanego od dwu innych lekarzy, którzy stwierdzili „konieczność” przerywania ciąży. Podpisy te dołączone bywają do akt szpitalnych. Prokurator wówczas musi odejść z kwitkiem, bo szpital jest formalnie w porządku”.

I istotnie tak bywa. Trafia się nawet, że lekarz, znany dzieciobójcą, gdy dostanie do szpitala kobietę z zaczęętym poronieniem, wydobyla ze znanie od takiej pacjentki, kto jej to zrobił, i ściga potem osobę przestępczą. W ten sposób z jednej strony utracą... konkurenta do zarobku, a z drugiej strony na wypadek, gdyby jemu wytoczono proces o nielegalne przerywanie ciąży, zapewni sobie zawczasu dowody, jak to on... gorliwie zwalcza poronienia. Zdarzają się nawet i bardziej wyrafinowane symulacje. Wiadomo, zbrodniarze są bardzo sprytni, a poczciwcy, legaliści, są zazwyczaj niedołągami.

Ale czy owe zasłony dymne zbrodniarze nie są przestarzałe? Czyż, na przykład, nie można sprawdzić, kto są ci lekarze, którzy systematycznie podpisują zaświadczenia — „wskazania” — trzeciemu lekarzowi: poroniarzowi? Bo czyż takich trzech lekarzy nie może zawrzeć spółki, by zarabiać na dzieciobójstwie?

Lecz po cóż to pytanie? Widocznie tak bywa; bo nie od dziś część

lekarzy żąda, żeby wskazania do przerywania ciąży wydawała dla lekarzy tylko, specjalnie do tego upoważniona, komisja lekarska.

Zresztą, upadek etyki lekarskiej wśród części lekarzy, gdy chodzi o poruszenie tu zagadnienia, jest doprawdy już zbyt wielki. Opowiadano mi kilka dni temu scenę z restauracji w pewnym większym mieście, gdzie dwu lekarzy raczyło się wódką, a potem sprzeczali się, ile który ma zapłacić, klarując sobie po koleżeńsku, że rachunek winno się regulować odpowiednio do zarobków: kto więcej ciąży przerwał, niech więcej płaci. Widocznie nie krył się z tym dialogiem, skoro ta wiadomość doszła mych uszu.

Prócz tego w walce przeciw poronieniom jest jeszcze jeden motyw i to wielkiej wagi, niewykorzystywany dotychczas. Mianowicie, lekarze, którzy przerywają ciążę, li tylko w ramach obowiązującego obecnie w Polsce ustawodawstwa, czynią to w niesłychanie rzadkich wypadkach. Do takich lecznic należą Klinika Ginekologiczno - Położnicza Uniwersytetu Warszawskiego, prowadzona przez znakomitego lekarza chorób kobiecych, profesora doktora Czyżewicza. Otóż w klinice tej bywają lata, gdy przerywa się ciążę 1 raz, najwyżej 2 razy do roku, a zdarzają się i takie lata, gdzie wcale się nie przerywa. Na przykład, w czerwcowym numerze warszawskiego „Przeglądu Powszechnego” zamieściła doktor E. Mironowicz statystykę tej kliniki za rok 1946, gdy klinika miała 2.800 pacjentek, lecz ani razu nie przerywano ciąży. Dlaczego? Bo przy obecnym stanie medycyny przerywanie ciąży nawet dla lekarza - ateisty, lecz uczciwego fachowca, nie należy już do sztuki leczenia.

Gdyby tedy każdy prokurator, udający się do szpitala na skontrolowanie legalizmu przerywanych także ciąży, zaopatrzył się w statystykę Warszawskiej Kliniki Uniwersyteckiej Ginekologiczno - Położniczej, wówczas badając ilość pacjentek w szpitalu oraz ilość przerywań także ciąży, mógłby potównać te liczby z cyframi kliniki Warszawskiej. Uzyskałby dzięki temu z miejsca podstawę do ogólnej oceny, czy badany zakład leczniczy działa w granicach obowiązującego dziś prawa. Jeśli byłoby odchylenie, należałoby wszcząć dalsze kroki badawcze, gdyż wykazanie winy byłoby tu z całą pewnością realne. A gdyby taką działalność rozpo-

częto naraz w całej Polsce, znalazłoby się wszędzie dość świadków, by lekarzom przekraczającym prawo udowodnić winę w każdym poszczególnym wypadku. Natomiast dziś, gdy tylko ten i ów w Polsce podejmuje obronę dzieci nienarodzonych, lekarze terroryzują ewentualnych świadków groźbą zemsty. Ludzie wówczas się boją, bo czego jak czego, ale odwagi cywilnej brak było i brak jest. Ci przez to, co wiele wiedzą o lekarzach przestępczych, milczą, a mordowane dzieci nienarodzone... nie mogą przemówić.

A więc już dziś — gdyby tylko prokuratorowie zechcieli — w ramach istniejącego ustawodawstwa można by zapobiec śmierci setek tysięcy dzieci i mnóstwo kobiet uszczę od, tak szkodliwych dla zdrowia, skutków poronień. Sposób podany tutaj jest prosty i jasny, jak słońce: wykorzystaj statystykę Kliniki Warszawskiej!

Prezentując powyższe materiały dla ministerstw Zdrowia, Opieki, Sprawiedliwości i Przemysłu, dodam poza tym dla osób prywatnych, co mnie nie znają i czytają zaledwie ten mój artykuł, że nie jestem zwolennikiem przerywania ciąży, którego lekarz może dokonać na podstawie obowiązującego w Polsce ustawodawstwa, jak to mogłoby wynikać z dopiero co przytoczonych moich wywodów. Nie. Każde bowiem przerywanie ciąży, w każdych okolicznościach dokonane, to barbarzyństwo i zbrodnia, bo to zabicie niewinnego dziecka: choć nienarodzonego, ale dziecka. Takie zresztą jest stanowisko nie tylko zdrowego rozumu, ale i zdrowego odłamu medycyny współczesnej.

Wrocław, 13.VII. 1948.

Walenty Majdański

Nowość

Jan Dotrączyński

„WYBRĄNCY  
GWIAZD”  
powieść

str. 304

zł. 800.-

Do nabycia we wszystkich księgarniach

# TYDZIEŃ KULTURALNY

## O POLSCE W SŁOWACJI

JEDYNY słowacki miesięcznik poświęcony sprawom kultury. „Kulturny Život“ wydał niedawno specjalny numer poświęcony polskiemu życiu kulturalnemu w Polsce. Numer zawiera szereg artykułów polskich pisarzy, a ozdobiony jest wieloma reprodukcjami polskiego malarstwa i rzeźby. Miesięcznik zaznajamia czytelników słowackich ze współczesną prozą polską, poezją, malarstwem, architekturą, filmem i t. p.

## PRACOWNIE NAUKOWE O.N.Z.

NA plenarnym posiedzeniu Rady Gospodarczo - Społecznej ONZ postanowiono utworzyć komitet ekspertów z podstawowych dziedzin nauki, którzy by w ścisłym porozumieniu z UNESCO opracowali projekt utworzenia naukowych pracowni badawczych ONZ. Obecny podział dyskusji Dyrektor Generalny UNESCO, Huxley, oświadczył, że w niektórych dziedzinach badania naukowe, podjęte na skalę międzynarodową, mogą dać o wiele lepsze rezultaty, niż badania krajowe, dzięki większym środkom, szybszej i skuteczniejszej pracy.

W tej sprawie zwołana jeszcze będzie światowa konferencja dla możliwości wszechstronnego zbadania zagadnienia.

## EGZAMINY W ZASP-ie

UZYSKALIŚMY 126 nowych aktorów, którzy już w zaczynającym się sezonie podejmą swą pracę. Na 182 kandydatów, którzy zgłosili się w tym roku do egzaminów aktorskich ZASP-u, 126 zdało z wynikiem pomyślnym. Większość nowych adeptów sztuki scenicznej to absolwenci Łódzkiej Szkoły Teatralnej (71), Dalej idzie Kraków (31), Poznań (17), Warszawa (7) i t. d.

## ZNANY ŚPIEWAK WRACA DO KRAJU

ZNANY w Polsce z występów w przedwojennej operze warszawskiej (lata 36-39) tenor Mieczysław Salecki, ma w niedługim czasie wrócić do kraju po wieloletniej wędrówce, która zresztą przyniosła mu

(dokończenie ze str. 1)

ryzowani przez egzaminatorów w porównaniu do kandydatów nowo wstępujących? Naprawdę trudno wyobrazić sobie tak idealnie sprawiedliwych profesorów, a trudno też pomyśleć, że można powoływać ad hoc taką ilość komisji egzaminacyjnych.

W jaki sposób zapewni się dojazdy do tych szkół zbiorczych, trudno w tej chwili przewidzieć. Należałoby uruchomić odpowiednią ilość internatów — ale czy znajdą się na to wystarczające kredyty?

Jeszcze więcej zamieszania wyniknie w szkołach zawodowych, w których obok 3-letnich istnieją cztery i pięcioletnie szkoły zawodowe. Sami fachowcy oświatowi jeszcze nie zdają sobie sprawy jak się to wszystko wreszcie ułoży.

Należałoby powołać specjalną komisję, składającą się z przedstawicieli społeczeństwa, reprezentantów nauki, która miałaby na celu zaprojektowanie gruntownej reformy wychowania, zgodnie z najnowszymi postulatami nauki. W tym czasie można by zakładać te jedynostanowiskowe szkoły eksperymentalne.

Poruszając to zagadnienie, zastrzegamy sobie prawo powrotu do niego, po otrzymaniu szczegółowych danych i po wydaniu zarządzeń oraz wypowiedzi publicznych, gdyż nie wątpimy, że takie na stąpią, kierowników tego recertu, którego los tak bardzo nam wszystkim zależy, na sekcji.

Andrzej Staronka

szereg cennych sukcesów zagranicznych i wiele uznania uchodźców polskich za pracę społeczną.

## MUZYCY JADĄ DO LONDYNU

DYREKTOR Reprezentacyjnej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, Grzegorz Fitelberg, wyjeżdża w drugiej połowie września do Londynu, gdzie dyrygować będzie dwoma koncertami, na których program złożą się wyłącznie utwory polskich kompozytorów.

Wraz z Fitelbergiem wyjechać ma znana i znakomita skrzypaczka, Eugenia Umińska, która w ramach tych koncertów wykonać ma dla pu-

bliczności londyńskiej dwa koncerty skrzypcowe Szymanowskiego.

## „SYRENA“ PRZENOSI SIĘ DO STOLICY

ŁÓDZKI teatrzyk rewiowy „Syrena“ przenosi się (tym razem podobno już definitywnie) do Warszawy. Jak niosą poufne wieści z dniem 5 września rozpoczęły się już (w Łodzi) próby spektaklu rewiowego, którym „Syrena“ przedstawić się chce stolicy. „Syrena“ mieścić się będzie w salce przy ul. Litewskiej. Otwarcia teatru należy się spodziewać nie wnieścnie, jak w połowie listopada. Na opinię o fakcie przeniesienia zaczekamy do pierwszego

spektaklu. Warszawie potrzebny jest teatrzyk satyry, ale dobry teatrzyk i dobrej satyry.

## WITAMY, WITAMY...

WRÓCIŁA, lub wróci w najbliższych dniach do kraju ulubienica publiczności warszawskiej, aktorka, Maria Modzelewska. Ponoć Szyfman zdążył już wyremontować p. Marii willę na Mokotowie (własność artystki). Znak to nieomylny, iż ujrzymy p. Modzelewską na scenie Teatru Polskiego.

## SPROSTOWANIE

NIE bardzo dysponowany kronikarz napisał w ubiegłym tygod-

niu, iż trzeci Festival Chopinowski w Dusznikach Zdroju odbędzie się od 20 do 23 września b. r.

Tymczasem, jak to już ogólnie wiadomo, Festival ów mamy poza sobą. Odbił się on w dniach od 20 — 23 sierpnia. Poza tym wszystko inne zgadza się rzeczywistością. A więc istotnie wystąpił w przeddzień Festivalu z recitale Władysław Kędra, 21 sierpnia koncertowali tegorocznymi laureaci Eliminacyjnego Konkursu Chopinowskiego Regina Smendzianka, Zbigniew Szymonowicz, oraz śpiewaczka Aniela Szleminska. Okrasą Festivalu był występ znanego już w całym kraju pianisty Raoula Koczalskiego, który wykonał sonatę b-moll i 24 preludia.

# N A D E S Ł A N O

## WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA“ — WARSZAWA

Jerzy Pytlakowski — FUNDAMENTY — powieść, obwolotę projektował M. Berman, str. 457.

Walenty Klyszejko — KOSZYKÓWKA, str. 111.

## WYDAWNICTWO EUGENIUSZA KUTHANA

Jan Parandowski — KRÓL ŻYCIA, str. 242.

## KSIĘGARNIA ŚW. JACKA W KATOWICACH

Dr Stanisław Wicher — JAK WYCHOWYWAĆ MŁODZIEŻ, ZWŁASZCZA MĘSKĄ W CZYSTOŚCI, str. 19.

## WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

J. O. Curwood — NAJDIKSZE SERCA, przekł. autoryzowany J. Marlicza, wyd. III.

J. O. Curwood — BARI, SYN SZAREJ WILCZYCY, przekł. J. Marlicza, wyd. III, str. 246.

J. O. Curwood — SZARA WILCZYCA, przekł. J. Marlicza, wyd. III, str. 245.

Hanna Malewska — KAMIENIE WOŁAĆ BĘDĄ, powieść z XIII, wyd. II, str. 331.

## PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY — WARSZAWA

L. Rudnicki — STARE I NOWE, str. 214.

Maksymilian Meloch — SPRAWA WŁOŚCIANKA W POWSTANIU LISTOPADOWYM, str. 212.

St. Wyspiański — WESELE, str. 316.

## WYDAWNICTWO „PANTEON“

M. Pruszyński — W TOBRUKU, NARWIKU I MOSKICIE, str. 334.

## WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

WARSZAWA — KRAKÓW

Maria Dąbrowska — DZIECI OJCZYŹNY, wyd. VI, str. 167.

Maria Dąbrowska — PRZYJAZŃ, wyd. VIII, str. 64.

Janusz Korczak — KRÓL MACIUS I, str. 320.

NAKŁADEM KSIĘŻY MISJONARZY SALETYNÓW — RZESZÓW

Ks. Fr. Czarnik m. s. — U STÓP MATKI PŁACZĄCEJ, str. 224.

## NAKŁADEM OO. FRANCISZKANÓW

WROCŁAW

O. dr. Joachim Bar. franciszkanin — SZKOŁA SERAFICKA, str. 126.

## INSTYTUT ZACHODNI POZNAŃ — WROCŁAW

DOLNY ŚLĄSK — Praca zbiorowa pod red. Kiryla Sosnowskiego, Mieczysława Suchockiego, cz. II, t. I, str. 524, okł. St. Szczepański, fot. J. Bulhak.

Egon Larsen — MUZYKA Z ETERU — Biblioteka Popularno - Naukowa, str. 71.

Helena Rzdłkowska — STOSUNEK POLSKIEJ OPINII PUBLICZNEJ DO REWOLUCJI FRANCUSKIEJ, str. 182.

FL. NOWICKA — CZĘSTOCHOWA, ul. 7 Kamienic Nr 29

SPIEWNIK KOŚCIELNY — ks. F. Nowakowski — Częstochowa, str. 96.

KSIĘGARNIA GDAŃSKA —

KRAWCZYŃSKI — Grunwaldzka 66.

Prof. dr I. Adamczewski — ZARYS FIZYKI WSPÓŁCZESNEJ, cz. III, Gdańsk, str. 152.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK“

Wiktor Hugo — DZWONNIK Z NOTRE DAME, cz. I, Biblioteka

romansów i powieści Nr 10, str. 63.

Karol Dickens — OPOWIEŚĆ WIGILIJNA — Biblioteka romansów i powieści, Nr 9, str. 64.

Sir William Bragg, laureat Nobla — ŚWIATŁO—WSZECHŚWIAT

UTKANY ZE ŚWIATŁA, wyd. II, Biblioteka popularno - naukowa „Mathesis Polskiej“, str. 305.

J. I. Kraszewski — STAROSTA WARSZAWSKI — obrazy hist. z XVIII w., wstęp i objaśnienia prof. W. Hahna, t. I, str. 554.

Mabo Lovrak — DZIECI WIELKIEJ WSI — Biblioteczka Młodego Czytelnika, str. 101.

Roman Bratny — W KARTY Z HISTORIA, str. 110.

Teodor Tomasz Jeż — USKOKI, powieść w 2 tomach, t. I, str. 225, t. II, str. 252, okł. — Sopoćko.

Kazimierz Brandys — MIĘDZY WOJNAMI, Samson, str. 226.

Adolf Nowaczyński — MŁODOŚĆ CHOPINA, str. 236.

Stefan Żeromski — ZAMIEĆ, powieść, str. 243.

SPÓŁ. WYD. „CZYTELNIK“

Instytut Kulturalno - Oświatowy

BADANIE CZYTELNICZWA, praca zbiorowa, str. 128.

„CZYTELNIK“ — KRAKÓW

M. A. Świnarski — LEGENDA O MĄDRYM MĘŻU, 3 akty prozą, rys. A. Uniechowski, str. 70.

## TOW. NAUK. KATOLICKIEGO UNIWERSYTETU LUBELSKIEGO

Leon Halban — CHARAKTERYSTYKA IDEALU SPOŁECZNEGO DEKRETU GRACJANA, Lublin, str. 35.

Leon Halban — O JEDNOŚCI MORALNEJ ŚWIATA, str. 24.

„VERBUM“ — KSIĘGARNIA

„JEDNOŚĆ“ — KIELCE

Z AKT STOLICY APOSTOLSKIEJ — Pius XII.

ENCYKLIKA MEDIATOR DEI — z oryg. łacińskiego przetłumaczył i zaopatrzył wstępem O. Jan Wierusz-Kowalski OSB.

ŚW. KATARZYNA ZE SIENY — Księga Miłosierdzia Bożego, czyli Dialog, t. I, przeł. Leopold Staff, wstęp O. Jacka Woronieckiego, str. 315.

TRZASKA, EVERT I MICHAŁSKI

MEANDER — miesięcznik poświęcony kulturze świata starożytnego, Nr. 3, rok III, str. 185.

TORUŃSKIE TOW. FILOZOFICZNE

RUCH FILOZOFICZNY — kwartalnik org. Pol. Tow. Fil. Nr 1—2, str. 71.

GEBETHNER I WOLFF WARSZAWA

Michał Rusinek — IGRASZKI

NIEBA, powieść, str. 293.

Jadwiga Kopicowa — SAMOTNOŚĆ TOMASZA KOBZY, powieść, str. 225.

PAŃSTWOWE ZAKŁADY WYDAWNICTWA SZKOLNYCH

PORADNIK DLA NAUCZYCIELI ZDOBYWAJĄCYCH KWALIFIKACJE ZAWODOWE DROGĄ SAMOUCTW — Nr. 3—4, str. 91, Nr. 5, str. 116, Nr. 6, str. 136, Nr. 10—11, str. 144.

Wanda Bobkowska — PRUSKA

POLITYKA SZKOLNA NA ZIEMIACH POLSKICH 1793 — 1806, str. 390.

## KSIĘGARNIA

A. TUJAKOWSKI — TORUŃ

Józef Czerni — TESTAMENT

MŁODOŚCI, Wizje i konstrukcje

poetyckie, okł. M. Antuszewicz, drzeworyty w tekście Z. Kotlarczyk, str. 124.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA“

Antoni Czechow — OŚWIADCZENIE, żart sceniczny w 1 akcie, (Bibl. świetl. KCZZ, Nr 6), przekł. z ros. M. Czarnele, wstępem poprzedziła Cz. Wajęńska, str. 44.

*Sieci rybackie cienkie i grube  
Wore przeciwozgarowe tkoczne*

*Fachowa długowieczność, wytrzymałość i miękkość robót, łatwy nam montaż i demontaż, niezmienną doskonałość naszych wyrobów*

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH  
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka  
„IWIS“ SP. AKC. GRODZIŃSK MAZ. SPÓŁDZIELNIA 2 tel. 7067

Tadeusz Daniszewski — FELIKS DZIERŻYŃSKI JEGO ŻYCIE, PRACA I WALKA, okł. S. Bernacińskiego, Ilustr. i fotograf, w tekście, str. 126.

A. Jętimow i E. Tarle — FRANCUSKA REWOLUCJA BURŻUASZCZYNNA 1789 R. I WOJNY NAPOLEONSKIE, przekład z rosyjskiego (Bibliot. Historyczna), str. 236.

W. J. Lenin — DZIECIĘCA CHOROBA „LEWICOWOŚCI“ W KOMUNIZMIE (próba popularnego wykładu marks. strategii i taktyki), wyd. II, str. 128.

Józef Pogan — CIERPKI OWOC, nowele i opowiadania, okł. S. Bernacińskiego, str. 128.

ROZBICIE W POLSKIM RUCHU ROBOTNICZYM I DROGI JEGO PRZEZWYCIEŻENIA (Biblioteka szkolna partyjnego), str. 24.

Adam Schaff — POGADANKI O MATERIALIZMIE HIST., str. 68.

MYŚL WSPÓŁCZESNA — czasopismo nauk, Nr 5, str. 244.

PAŃSTWO I PRAWO — miesięcznik Nr 5—6 (27—28), organ Zrzeszenia Prawników Demokratycznych.

Aragon Louis — REWIZJE (Bibl. świetlicowa KCZZ Nr 10), Sztuka w 1 akcie na podstawie noweli pt. „Dobry sąsiedzi“, oprac. H. Czarnele, przekł. J. Kott, str. 32.

Lucjan Dobrowolski — HIGIENA PRACY — WCZASÓW — SNU, (Bibl. KCZZ), str. 104.

I. Hannopolski — PLAN PRODUKCJI PRZEDSIĘBIORSTWA PRZEMYSŁOWEGO, str. 200.

Stanisław Piotrowski — SPRAWOZDANIE JUERGENA STROOPA, str. 108, okł. Wł. Stańczykowski.

POLSKA LUDOWA W OBRONIE POKOJU I NIEPODLEGŁOŚCI, (Bibl. szkolenia part. KCPPR i CKW PPS Nr 10), str. 16.

Armand Salacrou — LAJDACY, (Bibl. świetl. KCZZ Nr 11), Sztuka w 1 akcie (fragment „Nocy gniewu“), przekł. T. Żeromskiego, str. 48.

Henryk Sienkiewicz — SZKICE WĘGLEM, (Bibl. świetl. KCZZ, Nr 8), Sztuka w 4 odsłonach. Na podstawie noweli oprac. St. Srednicki, str. 44.

Stefan Żeromski — SUŁKOWSKI (Bibl. świetl. KCZZ Nr 7), Jeden akt, skróty sceniczny, oprac. T. Żeromski, Wstęp Z. Libera, str. 36.

Wanda Wasilewska — PŁOMIEN NA BAGNACH, powieść, str. 360.

Aleksander Bąk — SZOSA WOLOŁAMSKA, str. 280, wyd. II, przekł. pod red. St. Okęckiego, okł. J. Rachwałski.

Henryk Cunow — POCHODZENIE RELIGII I WIARY W BOGA, str. 204, wyd. II, przekł. Z. Mierzwińskiego.

Fryderyk Engels — ANTY-DÜHRING, str. 406 (Bibl. Klasyków Marksizmu) z III wyd. niem. przekł. P. Hofman, str. 406.

Stefan Czarnowski — KULTURA, wyd. III, przedmowa — Ludwik Krzywicki, str. 280.

Halina Górka — DRUGA BRAMA, wyd. II, powieść dla młodzieży, str. 232.

Jerzy Kowalewski — DOKAD IDA NIEMCY? — str. 292.

Jerzy Lec — ŻYCIE JEST FRASZKA, str. 152, okł. H. Tomaszewski-fraszki i satyry.

MATERIAŁY NORYMBSKIE, Str. 372 (Bibl. Zrzesz. Prawn. Dem.) Opracowanie i wstęp T. Cyprian J. Sawicki.

Marta Michalska — STARY, okł. i ilustr. Z. Rychlickiego — powieść dla młodzieży, str. 188.

Stanisław Ossowski — WIEŻ SPOŁECZNA I DZIEDZICTWO KPWI, wyd. II uzupełnione, str. 292.



WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

15

# LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

Poddawała się machinalnie rytmowi muzycznemu, było to ćwiczenie, które wiała w pamięć dokładnie, nie budziło w niej żadnej sensacji. „Boże, istna lalka z wystawy” — pomyślał. Gdy wracali do stolika, gdzie Damian kazał ustawić nową butelkę starki (w międzyczasie, może na pocieszenie, pił demonstracyjnie sam, gdy tańczyli), paru mężczyzn obejrzało się za nimi.

— Zawsze o tobie myślałem jako o rodzaju Jaures’a. Jaures’a w młodości — powiedział Damian. — Nie sądziłem, że masz w sobie aż tyle zwyczajnego życia, zrozumienia życia. Alkohol, muzyka —

Tadeusz naprawdę teraz żałował, że przyszedł na tę głupią rozmowę. Głupia, gdyż niczego nie zaspakajala, ślizgała się po wierzchu spraw.

— Nie, mylisz się, jestem zupełnie inny.

— Jaki? — zapytała.

— Tego nigdy o sobie nie wiemy — zachęcał Damian. — Inni wiedzą zawsze lepiej.

— Lepiej? — powtórzył — Nic nie wiemy.

— Jaki pan jest? — powtórzyła. — Choćbym czytywała codziennie pańskie artykuły, tego tam nie znajdę. Wy, mężczyźni, w waszym życiu publicznym używacie szminki, co nam macie za złe. Nasze życie publiczne jest na codzień, co godzinę. My musimy się zawsze w pewnym stopniu wydawać, inaczej nie byłobyśmy ciekawe.

— Myśli pani?

— Nic nie myślę. Jestem pewna. Na kobiety nieefektywne nie zwraca się żadnej uwagi. Musimy osiągać to minimum, jakie nam przepisujecie.

— Skoro tak jest, to znaczy — wyjaśnił Damian — zadajcie sobie zbyt dużo facyty. Kobiety powinny być prostsze.

— Powinny być bardziej skomplikowane — zapewnił Tadeusz. — Naturalnie, nie w zakresie szminki. Szuka się czegoś istotnie niepokojącego.

Zaśmiała się — długo, serdecznie. Bardzo ją to rozbawiło. Powiedziała, iż jej zdaniem Tadeusz jest wspaniały. Tylko, to nieprawda. Damian określił dużo lepiej, czego chcą mężczyźni: wygody, swojej porcji radości. Tak jest może i lepiej. Nie należy sobie tworzyć złudzeń.

Jednak, pomyślał Tadeusz, zmysły, sfera zmysłów nie wyczerpuje miłości. Jest coś ponad nimi, co z nich może i rośnie, ale jest już inne — poczucie wielkości, poczucie ogromności życia, ogromności świata. Cierpienie to właśnie odczucie, że nie można tej ogromności osiągnąć, zobaczyć, przeżyć. Tym poczuciem nie można się dzielić z nikim, nawet z kochaną kobietą. Ale tylko przez nią, tylko dzięki niej można je osiągnąć. To nieprawda, że istnieje tyle kobiet. Można posiadać wszystkie kobiety i nigdy nie przeżyć tego, co dałaby ta jedyna kobieta, która jest nieosiągalna, która jest niezastąpiona: to właśnie stanowi o mecie.

— Tak, mój drogi — oświadczył Damian — twój socjalizm jest chimerą. Za dużo w nim romantyzmu. Zgodzę się, na twój gust ja jestem odstępca, czymś w rodzaju renegata. Swoją drogą pomyśl o tym, o czym rozmawialiśmy, mnie to jednak interesuje. Ale z twoich towarzyszy też chyba nie jesteś zadowolony, co? To nie orły, to ptactwo domowe. Gęsi kiedyś ocaliły Kapiłol, ale nie słyszałem, żeby dokonały jakiegokolwiek rewolucji.

— Upiłeś się.

— Zaręczam słowem honoru, że jestem trzeźwy.

Odwiezli potem Marię na Natolińską. Damian wcale nie miał ochoty wracać do domu. Był podniecony erotycznie, zaczepiał dziewczęta uliczne, wdawał się z nimi w gawędy — dosadne, pełne specyficznego smaku kosostwa. Porzucali go w końcu, może by i poszedł z którąś z nich przespaać się, mimo wszystko. Tadeusz wszedł wreszcie do tak-sówki, wychylił się:

— Jak chcesz. Ja jadę do domu.

— Do domu? Za nic, za nic. Nie mogę tak ciebie puścić, to trudno, widzisz, ja je-

stem w końcu dziwką. Muszę z tobą jeszcze porozmawiać, mam ci tyle do powiedzenia, mnie potrzebna jest ta rozmowa.

Wskoczył do samochodu, zbyt zgrabnie na swoją tuszę.

— Do Adrii.

— Jadę do domu.

— Nic podobnego. Skoro cię wyciągnęliśmy musimy pogadać o dawnych czasach.

— Co my mamy do mówienia o dawnych czasach?

— Więcej niż myślisz — powiedział z błyskiem trzeźwości. Tym bardziej, o ile w buchnie wojna. Powtarzam, twój socjalizm jest chimera, jesteś ostatnim świętym socjalizmem. Nie zapieraj się, chciałbyś być polskim Jaures’em. Odnowić partię, rzucić ją znowu w płomień, zrobić z „Robotnika” dyktatora opinii jak jego „Humanite”. To chimera. Nikt na to nie pójdzie. Chyba, gdyby się zdarzyła jakaś sprawa Drayfusa... Brześć no — tak. Ale starzy przegapili okazję. Nie było temperamentu Clemenceaux, nie było ani pióra, ani sumienia Zoli. Dziś za późno, nawet nie można już mówić o stronie moralnej antysemityzmu, rzecz przeniosła się w stronę straganów. Jak będziesz dyskutował ze Składkowskim, że walka ekonomiczna — owszem? Ależ co ja mówię, wy właśnie tak dyskutujecie. Nie mieliście siły, aby rzecz umieścić w kategoriach światopoglądu. Aby stworzyć inny kształt wiary w życie. Wasi starzy żyją z wyprzedzają XIX stulecia. Rzuć partię w płomień. Mój drogi, kogo? Starych? Już raz przeszli przez to, nie będą mieli ani siły, ani ochoty. Już wybrali. Młodych? Młodych nie macie. Ty, ja, tacy jak Dewin, nie mieliście siły ich utrzymać, nie jesteście atrakcyjni.

— Ja zostałem.

— Na galerach ambicji. Zarzucam ci: przez ambicję. Dziś wszyscy sposobią się na wodzów.

— O tyle, o ile proletariatus potrzebuje kierowników, na tyle —

— O ile, na tyle... Jezuickie matactwa myślowe. Rzecz jest prosta, wasza opozycja to nonsens. Albo z komunistami, albo z nami.

— Z wami? Kogo masz na myśli?

— Ludzi trzeźwych, którzy nie chcą reakcji, którzy są przeciw własnym ojcom. Którzy jednak są rozsądni. Nie można z chi mery robić konia, to kiepski wierzchowiec.

— Ty w ogóle raczej wierzysz w szkapę dorozkarską.

Samochód stanął. Na mokrym (po deszczu, który spadł na początku nocy) trotuarze pełzało światło nerwowych neonów u wejścia. Przeszli przez szklane drzwi, Tadeuszowi robiło się wszystko jedno. I tak ta noc była stracona z punktu widzenia snu. Gdyby go zobaczył ktoś z sekcji robotniczych... Nikogo z nich tutaj nie będzie. Zycie, alkohol, ten beznadziejny Damian, który już w szatni przyczepił się do kwaciarki. Ściągano z niego palto, z rękoma, wydarty mi do tyłu, w meloniku na głowie, pochylał się ku dziewczynie, co jej szeptał na ucho. Śmiała się swobodnie.

Na parkiecie popisywała się trupa żonglerów. Tadeuszowi mieniło się w oczach od wirowania tych talerzy, piłek, metalowych krążków, noży. Nie zdziwiłby się, gdyby w powietrzu zaczęły fruwać butelki ze stolików, kieliszki ze stolików. Numer się kończył: sala huczła w brawach i bisach, potem wszystko się urwało — żonglerzy w białych obcisłych kostiumach, wydając nieartykułowany okrzyk, zbiegli ze sceny. Publiczność odwracała głowy od sceny, ktoś rzucił pod sufit węzowy wieniec serpentini, kolorowe papierki wolno opadały na parkiet, na łóżko. Dwu picolów rzuciło się na skinięcie maitre d’hotel’a, aby je pozbiierać z podłogi. Migotały w powietrzu, w różnobarwnych lampach. Potem miały wartość śmieci. Nie więcej. Stali między filarami, Tadeusz poczuł się beznadziejny.

— Szkoda, że nie ma panny Marii —

— Ach, nie. Nie o t’j porze. Ona nie ma krzty entuzjazmu. Teraz jest pora entuzjazmu.

— Entuzjazmu!

— Mój miły, nie bądź kwaśny jak ciotka z winegretu! Czekaj — Widzę znajomych, chodź, usiądźmy z nimi. To państwo Czeręjscy i naturalnie Alex Mokacki. Jakże inaczej.

— Ja ich znam.

— Tym lepiej.

Tę jedną cechę lubił Tadeusz w Alexie: zdolność do nieklamanej radości. Może nie była nigdy tak głęboka jak ją chciał okazać, ale rodziła się, był zdolny do narodzin radości. Nowe twarze, jakaś odmiana, to go cieszyło. Nie nosił monotonii ani na godzinę. Potrzebował odmiany, cieszył się szczerze, gdy zmieniały się dekoracje. Przez czas jakiś zanurzał się w zmieniony krajobraz, aż do chwili rozczarowania, do chwili przeświadczenia, że jednak nic nie jest odmienione w istocie. Wtedy cofał się w swoje ponure odludzie i czekał, coraz mniej rozczarowany, coraz bardziej znudzony, nieobecny.

— Cóż Wery, nie widział pan Weregę? Ach, prawda, szczęśliwi bywają niewidoczni. Wie pan, oni po ślubie mają zamieszkać we Włukach. Pan wie, ja mieszkam w sąsiedztwie. Chcę pana prosić, aby pan do mnie przyjechał na parę tygodni, będziemy śledzić młode małżeństwo przez plot, chciałbym się nauczyć na pamięć recepty na zadowolenie z życia.

— Kto wie, czy będą zadowoleni. A ty, jeśli będziesz zazdrosny.

— Daj spokój — powiedział Rudolf do żony — przecież Alex nie może się kochać z reguły we wszystkich mężatkach.

— Upewniam cię, że trochę racji jednak masz — uśmiechnął się. — Ja się nie kocham. One mi się po prostu podobają.

Przy stole był jeszcze jakiś młody człowiek — „najnowszy flirt Czeręjskiej, Zgaraski” — szepnął Tadeuszowi Damian. I do dał głośno — „byłbym za tym, żeby się jednak napić”. Rudolf Czeręjski powiedział parę słów do kelnera, nie pytał nikogo o zdanie. Nie liczył się z nikim. Patrzył z niepokojem na żonę: chciał, aby czuła się dobrze. Nie lubił małych towarzystw, powinna być zadowolona z tych dwu nowych mężczyzn. Uważał, że jest neurasteniką. Uległ jej w imię neurastenii. Martwił się o jej samopoczucie. Miał przy sobie pana w średnim wieku, z plamą spoconą łysiny na czole, mówiącego odrobinę kresowym akcentem. Nikt go nie słuchał, prócz Rudolfa i Rudolf musiał przyznać, że inżynier Cadrewicz nie był zabawny. Nie można go było jednak się pozbyć, ktoś musiał go słuchać, nawet o czasie do czasu odpowiadać. Rudolf z niechęcią zauważył, że to zadanie spada na niego. Cadrewicz właśnie wywoził, że waluta złota ma przede wszystkim tę rolę do spełnienia, że służy jako narzędzie wyrównywania potencjałów gospodarczych w różnych krajach.

— Jest to narzędzie bez zarzutu, gdy chodzi o korygowanie krótkich odchylen. W dłuższej fali natomiast...

Zauważył, że nie jest słuchany. Miał jednak nadzieję, że poświęci mu trochę uwagi, prócz Rudolfa, który był wyraźnie biernym słuchaczem, przynajmniej Makowski.

— Rolnictwo musi teraz pracować intensywnie, przez ulepszenie metod eksploatacji. Dawniej było dużo przestrzeni, nie trzeba było się wysilać. Położenie się odmieniło. Na szczęście, ręk do pracy jest aż za wiele, emigracja zamorska, nie mówię o sezonowej, staje się nieatrakcyjna.

Czeręjska poszła tańczyć z Jerzym Zgaraskim i wtedy Damian znalazł pretekst, aby przeprosić na chwilę towarzystwo. Inżynier Cadrewicz był szefem firmy, w której zaczął od niedawna pracować młody Jerzy. Czeręjska nastawała, aby zaprosić inżyniera do „Adrii” z względu na Jerzego. Miała sporo dobrych intencji i serca, ale nie przypuszczała nigdy, aby Cadrewicz mógł być aż tak trudny. Jerzy uważał zresztą, że nie ma powodu, aby się rumienić za swego szefa.

— Ja cię przestrzegałem, nie wierzyłaś mi — powiedział jej w tańcu. Dała za wygraną. Oparla mu głowę o ramię i przytknęła ocy. Ten smak zakazanego owocu, w pobliżu męża i Alexa, był jeszcze bardziej porywający, jeszcze bardziej nęcający. Przebudziła się nagle.

— Więc ty naprawdę sądzisz, że Alex jest zajęty tą Krystyną? Nie rozumiem tego.

— Nie wiem. Ja tylko przypuszczam.

— Przecież jabyś wiedziała zaraz.

— Zapewne, zapewne — zgodził się.

— Biedna Danusia Okrzejska — zauważyła — ona w Alexie się tak beznadziejnie kocha.

Alex ujął Tadeusza pod ramię.

— Chodźmy do baru. Mam panu coś do powiedzenia. — Gdy odeszli parę kroków od stolika, roześmiał się: — W każdym razie nie powiem panu nic nadzwyczajnego. Tylko nie mogę już dłużej słuchać tego nudziarza. Skoro tak, musimy już zajrzeć do baru, o, znajdziemy sobie jakiś kącik.

Weszli. Ktoś grał na fortepianie walca „Francois”, dwie pary wirowały w ciasnej przestrzeni. Damian siedział pod bufetem z jakąś dziewczyną, był to ktoś z personelu, zdaje się, zawodowa tancerka. Trzymał lewą ręką na jej kolanie, prawą podsuwał jej cocktail.

— Jeszcze ten jeden.

Broniła się, odsuwała napój oboma rękami.

— Nie — usłyszeli — pan mnie nie rozumiał. Ja właśnie dlatego jestem smutna, że ciągle muszę pić. Zazdroszczę tym kobietom, które mają może nie wszystko, ale które mogą liczyć na prawdziwą miłość.

— Och — syknął Alex. — Schowajmy się szybko, zapowiadam tableau.

Damian ich nie dostrzegł. Szeptal coś na ucho swej towarzyszkę, nie zdejmował dłoni z jej kolan. „To jego metoda rozmowy, szept” — pomyślał Tadeusz. Poczuli, że jest śpiący, miał naprawdę wielką ochotę wyjść. Nie wiedział, dlaczego wciąż jeszcze trzyma się w tym makabrycznym kręgu. Nie, bynajmniej, nie potępił ani zabawy, ani radości. Ale w tej godzinie nie rozumiał na czym polega radość Damiana. Makowski śmiał się teraz głośno, bardziej do siebie, niż do niej, kiwał się na swoim wysokim stołku jak pajak, jak żyd w modlitwie.

— Myślę — powiedział Alex — że lepiej będzie na niego nie patrzeć. Nie jest jednak zabawny. Jest jednakowy, rozumie pan? Wolałbym, aby zaczął ją rozbierać — tutaj, publicznie. Wynikłoby wtedy coś nowego. Chociaż — zamyślił się. — W życiu jest mało danych na to, aby coś w ogóle wynikało. Kiedyś z bratem spotkaliśmy na ulicy wieczorem rumuńską cyganek. Młoda, brudna zresztą bardzo, istota. Tak, jeśli pan chce, urocza, młodości wybaczyć można i brud, takiej młodości bez kompromisów, trochę dzikiej — jak zięba w ogrodzie. Zabraliśmy ją do siebie, pojmuję pan, bez żadnych intencji. Był wieczór, grałem jej na fortepianie, nuciła. Rozumiała muzykę i nie trzeba było się nią kłopotować. Była po swojemu prosta. Nie wiedzieliśmy, co z nią potem zrobić. Odnosiłem wrażenie, że ma zamiar u nas nocować. Dała nam nawet spokój z wróżeniem. Już mi powiedziała, z ręki, na początku naszej znajomości, że jestem nie do końca. I wtedy Juliuszowi, wie pan, to mój brat, przyszedł pomysł, aby ją zabrać do Adrii. Kazaliśmy jej wykopać, trochę na wszelki wypadek, trochę, żeby po prostu była czysta. Przywieźliśmy ją jak była — w jej świetnie kolorowej sukni, w chustce na włosach, boso.

— Czy nie zanadto okrutne?

— Znajduje pan? Miała włosy tak niebiesko-czarne jak ktoś jeszcze, kogo znałem. Musi pan koniecznie wybrać się do nas na wieś. Dobrze? Niech pan sobie wyobrazi, to jednak była nuda. Z początku bardzo na nas patrzono. Potem dali nam spokój. A ona się po prostu nudziła. Opowiadała nam o jakimś szynczku w Czerniowcach, miał być dużo wspanialszy. W końcu się upiła i usnęła. Wynieśliśmy ją na rękach.

— Nie lubię eksperymentów z ludźmi.

— Tak? Cóż, jeżeli się siebie już dostatecznie pod tym względem wyekspluatowało... Może wrócimy, już na pewno skończyli tańczyć.

— Nareszcie jeden wieczór — powiedziała Czerejska — kiedy nikt nie mówi o upojeniu wielkością.

— Ponieważ nie ma Ksawerego Kunowskiego — wtrącił Rudolf.

C. d. n.

# Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

## DO RED. „DZIŚ I JUTRO” JESZCZE O „PORNOGRAFII”

Moje nieuleczalne niedołęstwo stylistyczne wywołuje chronicznie konieczność wyjaśnień i komentarzy do moich wystąpień. Tak się też stało w związku z moim niedawnym artykułem na tych łamach o „pornografii katolickiej”. Wydaje mi się bowiem, że nie zostałem zrozumiany, jeśli Jan Dobraczyński (w nrze 29 „Dziś i jutro”) stwierdził, że słusznie o mnie, że „nie stosowałem dotychczas w swych ocenach estetycznych kryterium etyki — i to etyki — zresztą tej jedynej — katolickiej”, daje do zrozumienia, że właśnie w ostatnim wypadku zastosowałem kryteria etyczne w ocenie estetycznej. Bynajmniej! Po dawnemu jestem stronnikiem rozgraniczania tych dziedzin. Zacytowane przez ks. Błotnickiego ustępy zostały przezemnie ocenione negatywnie z punktu widzenia ich wartości artystycznej. Gdyby było inaczej, może znalazł bym się wobec tragicznej konieczności wyboru: tu piękno, a tu pożytek społeczeństwa — jednak ten tragiczny konflikt w tym wypadku nie miał miejsca.

Mówię o pożytku społeczeństwa żeby być konkretny i jasny: wolę to niż trudne ogólniki w rodzaju etyki, Etyka katolicka — to już jest rzecz bardziej sprecyzowana: wyraża się, że zasadza się postępowania zgodnym z nakazami katechizmu, na posuszeniu Kościoła, wobec którego nie ma co szermować Starym Testamentem, gdyż ten nigdy nie był przez Kościół polecany, jako lektura popularna, czy rozrywkowa, którą jest w zasadzie powieść. O poza tym, jeśli w ogóle jak stwierdziłem w swoim artykule humanistyka, w znaczeniu zespołu pojęć o wytworach ducha ludzkiego nie jest sercem, na którym można przeprowadzić ścisłe rozgraniczenia to nie należy tem bardziej powiększać jej trudności używaniem metody znanej z anegdoty: co jest tłum? dwóch ludzi — to nie tłum, trzech — też, czterech — również i t. d.; rozumując w ten sposób dowiódł łatwo, że tłum w ogóle nie ma. A jednak każdy z nas widział tłum i zna zle skutki zapchania nim miejsc publicznych. Więc też i tu wyjaśnieniu sprawy nie sprzyja wprowadzenie obu skrajności — wiemy, że i matematyka unika wprowadzania współczynnika nieskończoności i współczynnika zero. Z jednej strony Biblia, z drugiej zakaz mówienia o brodzie w refektarzu zakonnicy. Znam i to, mogę nawet dorzucić jedną jeszcze autentyczną historyjkę: w pewnym zakonnym zakładzie wychowankom nie wolno było śpiewać „pieśni”, „Santa Lucia”, a to ze względu na słowa „piers marynarza”. Tok rozumowania jest jasny: jak to piers? O piersiach nie wypada wstydlivej dziewczycy wspominać, najwyżej w razie koniecznej potrzeby mówić o „płucach” (analogicznie za czasów mego dzieciństwa słowo „brzuch” zostało prawie całkowicie wyparte przez „żołądek”).

Tak więc znam to — i wcale nie aprobuję. Chodzi raczej o co innego. A ponieważ jesteśmy już przy sprawach żołądka i brzucha pozwolę sobie na następujące porównanie, choć również wiem, że „comparaison n'est pas raison”, tu wszak że nie chodzi o argumenty, tylko o poglądowe wyjaśnienie intencji. A więc dla porównania zwróćmy się do tej strony życia, która w codzienności naszej koncentruje się w pewnej dyskretnie komórce. Objęta ona była najsurowiej przestrzeżonym zakazem w literaturze drukowanej ostatnich wieków. Natomiast rozwielmożniła się w literaturze do druku nie przeznaczanej, zwłaszcza u nas, u staropolskich poetów, gdzie stanowi 9/10 tematyki ich rubasznych fraszek, których dziś przeważnie nie można czytać bez uczucia nudy (nie mówię obrzy-

trzytyczny o kobietach polskich: mówiło się tam o łożu i w tejże zwrotce przychodził „blask z przed obrazu Matki Bożej”; to zestawienie zostało uznane za niedopuszczalne i nieprzyzwoite, choć pismo nie nosiło zdeklarowanie katolickiego charakteru. Kilka lat później ten sam wiersz został wydrukowany w dzienniku, stojącym w zdecydowanie na platformie katolicyzmu). Albo przeciwnie: paradowanie erotyzmem przeistaczającym się w manję pańseksualizmu, w epatowanie spokojnych mieszczan ponurym ekshibicjonizmem, zwiolnością przechodzącą w opętanie zmysłowe i w pasję kopolalji. Znałem również jednego takiego redaktora, ale „kara Boża tam gdzie swawola!” W jego własnie piśmie, we wstępnym artykule, podpisanym nazwiskiem mądrego kapłana, jednego z najwybitniejszych przewodników ruchu katolickiego młodzieży, zecer (ogłupiały widać już z nadmiaru paradoksalnych zestawień w tym rodzaju) wstał „Boga, tego wielkiego pornografa”. Chodziło oczywiście o Boya.

K. W. Zawodziński

## DO RED. „DZIŚ I JUTRO” GDZIE BYŁ FILM POLSKI?

który czujnie śledzi za ważniejszymi wypadkami w kraju, by je utrwalić na taśmie filmowej, który nas stale kamni w swej kronice charakterystycznymi aktualnościami z całego świata — powtarzam gdzie jest film polski, jakimi przesłankami się rządzi, jeśli go nie było dotąd ani razu podczas słynnych uroczystości odpustowych 13, 14 i 15-go sierpnia w Kalwarii Zebrzydowskiej. Zaiste trudno o bardziej nadające się do filmowania, wspaniałe, barwne, imponujące, nastrojowe, bogate w efekty malarskie, fotograficzne i dramatyczne widowisko, które cały czas tętni akcją interesującą, mieni się barwnymi obrazami dziesiątek tysięcy pobożnych pielgrzymów, grupujących się malowniczo wokół licznych pięknych kapliczek, na tle wdziecznych pagórków kalwaryjskich.

dzenia, bo jestem nieobrzydliwy!). Czy stwierdzając to, pochwalam zakaz, o którym wspominałem? Bynajmniej! Ma i ta dziedzina niemałą wagę w życiu, którego urok może być zniweczony niekiedy dla tych poziomych przyczyn. To też z rozkoszą powitaliśmy, zwłaszcza w literaturze reportażowej z pierwszej wojny światowej, jako odkrycie nowego odcinka prawdy o wojnie, o jej wpływie na zbarbarzowanie i zprymitywowanie człowieka — la trynę żołnierską (por. u Remarque'a). A i przedtem, u pisarza tak wykwinętego przecież, „estety”, jak H. de Regnier, w jego świetnych stylizacjach powieściowych Wielkiego Wieku, jako rys specjalnie malowniczy i charakterystyczny zostały ujawnione konsekwencje braku współczesnych urządzeń w Wersalu na obyczajowość wytwornych markizów. Więc dobrze; ale znów bardzo szybko popadła literatura w przesadę, w nadmiar tych motywów, stosując je bez celu i bez korzyści artystycznej, upadabniając się pod względem leksykalnym do „corpus inscriptionum” odnośnych lokali publicznych.

Przesada nigdy nie jest dobra. A tę przesadę często można zauważyć (znów wracam na moje stanowisko obserwatora z boku) u katolików (mam tu na myśli ideowych, prawdziwych katolików). Albo jak u wyżej w mowie będących zakonnic — chorobliwe dopatrywanie się erotycznych wartości tam, gdzie ich nie ma (mógłbym tu przytoczyć historyjkę z pierwszych lat wojny o pewnym redaktorze, któremu zanosiłem wiersz bardzo patetyczny i pa-

Autorem tego widowiska jest cześć ludu polskiego do Najświętszej Pannienki, reżyserem kilkowiekowa tradycja, w wyniku czego ani upaść tropikalny, ani słońca, ani wysoka cena biletów kolejowych, ani np. drożyna świec, białego jedwabiu i tiulu nie jest w stanie wpłynąć hamująco, ani na frekwencję, ani na dochowanie wierności tradycji. Dość powiedzieć, że 13 sierpnia b. r. przeszło 20.000 osób brało udział w symbolicznym „pogrzebie” Matki Bożej, i blisko tydzień świec płonęło w rękach tych rzesz, które szły za pogrzebem i przyglądały się konduktowi ze stoków wzgórz i sąsiednich drzew, i tydzień wiązanek pełnego kwiecia dekorowało obowiązkowo każdą świecę. Dodajmy do tego lasy wysokich krzyżów drewnianych, tak że udekorowanych barwnymi wieńcami, niesionych na czele pochodu przez przodowników poszczególnych kompanii, wymiemy jeszcze „asysty”, wydelegowane przez różne miasta, w skład których wchodziło po kilkanaście panien w powłóczystych białych sukniach i welonach, zietnich wianuszkach, i po kilku młodzieńców w czarnych garniturach wieczorowych, a mieć będziemy trochę pojęcia o tym, ile to starań, ile pietyzmu dla uświetnienia tych uroczystości wypływa z serc ludu krakowskiego, góralskiego, śląskiego, który gra główne role w tych obchodach. Strona dźwiękowa reprezentowana jest przez muzykę kilku orkiestr, i pienia religijne, zwiolowo wprost płynące z tylu tysięcy piersi, rozgrzanych przez kilka świetnych, podniosłych, patriotycznych kazań, słyszalnych przez wszystkich, dzięki 4-em potężnym głośnikom.

Wielkie uroczystości kalwaryjskie trwają pełne 3 dni i polegają na nieustannym pobożnym obchodzeniu Stacyj Męki Pańskiej i Drózek Boleści Matki Najświętszej przez tysiączne grupy pielgrzymie, a punktem kulminacyjnym jest „pogrzeb” Matki Bożej w dn. 13 sierpnia oraz triumfalna procesja Wniebowzięcia dn. 15-go.

Jeżeli się zważy, że w 1946 r. pierwszy raz po uśmierciu wojennej

wzięło udział w obchodach kalwaryjskich przeszło pół miliona wierznych, a w tym roku wybitnie niesprzyjające warunki atmosferyczne nie przeszkodziły dwóm dziesiątkom tysięcy wytrwać w skupieniu od godz. 4-ej popoł. do 10-ej wieczór, to wnioskować trzeba, iż pomimo, że jest dużo miejscowości w Polsce, gdzie się szczególnie czci Matkę Najświętszą i wiele takich miejsc upamiętniających Meke Pańską pod nazwą Kalwarii, jednakże Kalwaria Zebrzydowska wśród nich zajmuje specjalne miejsce, ma szczególną jakąś moc atrakcyjną ze względu na łaskami płynący cudowny obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej, piękno samej przyrody i oryginalność swych obrzędów.

Zaiste jest to utrwalenie na taśmie filmowej dla wszystkich obywateli własnego kraju i jest czym pochwalic się wobec zagranicy.

Helena Pawłowska

## DO RED. „DZIŚ I JUTRO”

Szanowny Panie, Nie mogę niestety odpowiedzieć na zadne z 7 pytań postawionych przez Pana w sprawie budek - tulipanów, ale pragnę wskazać jedno z miejsc, z którego ta szpecąca forma powinna co rychlej zniknąć. Oto przy Krakowskim Przedmieściu 26 28 i 30, tj. między bramą Uniwersytetu Warszawskiego, a murami pałacu Czterwyskich, a więc między budynkami zabytkowymi, których dostojność szanować polecają tablice umieszczone na nich przez Ministerstwo Kultury i Sztuki, sterczy „działa” tulipan, urągając pięknu, sensowi i władzom, których zadaniem jest opieka nad estetyką miasta. Dla tegoż hasła chyba burzo prawo przez dwa lata kilka pięter domu „pod Messalką” na tymże Krakowskim Przedmieściu 22 (pozostawiając zresztą 5-cio piętrową oficynę).

J. B. B.

## DO RED. „DZIŚ I JUTRO”

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Mając na względzie zwykłą samobronę przed nagłą a niespodziewaną śmiercią, jakaby mogła mię spotkać (zupewnie zresztą w tej sytuacji zasłużenie) z rąk zagniewanych Czytelników, proszę uprzejmie o możliwie rychłe i widoczne sprostowanie niesamowitego błędu, jaki się zakradł (z winy, jak żywo, szanownego korektora) do mego artykułu p. t. „Myśli o operze” drukowanego w nrze 35-tym „Dziś i jutro”.

Na stronie 7-mej, w szpalcie trzeciej, wiersz 15-ty od góry spotkałem zdanie, które omal nie przypawiło mnie o atak niedawno wyleczonej wątroby. Wydrukowano bowiem na wyżej wskazanym miejscu:

Publiczność istotnie bądź co bądź głupia.

Pomijam, Panie Redaktorze, fakt, iż w zdaniu tym nie ma orzeczenia. Gorzej jednak ze znaczeniem. Przecież za to można, Najmilszy, zginać marnie!

Zdanie, o którym mowa, miało brzmieć następująco:

Publiczność ma prawo pożegnać się z ulubieńcami, a tu tymczasem sytuacja istotnie bądź co bądź głupia.

Proszę przyjrzeć się temu zdaniu i moim podkreśleniom, a wszystkie stanie się jasne.

Sądzę, że w interesie całej ludzkości, która jakże niepowetowana stratę poniosłaby w wypadku mego tragicznej, a tak jeszcze naprawdę nie zasłużonej śmierci, zechce Pan wysłuchać mej prośby.

Łączę wyrazy poważania

Mieczysław Markowski

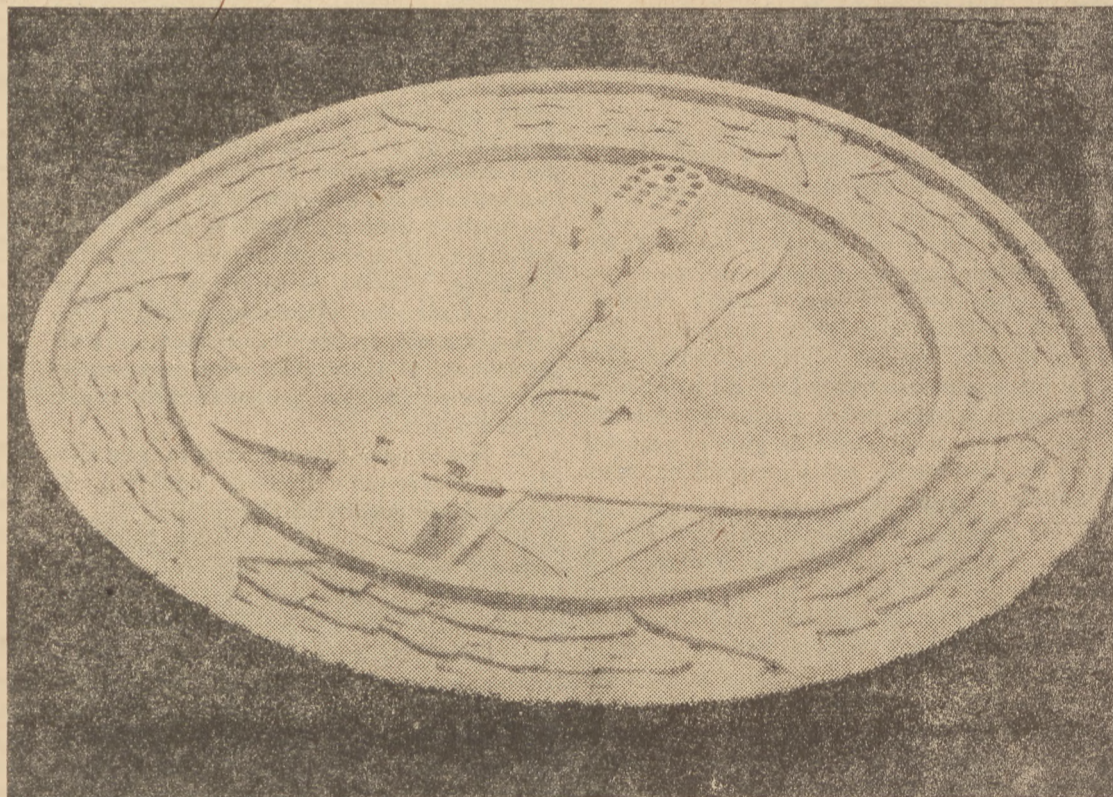
P. S. Wdzięczny będę, jeśli zechce Pan przy okazji sprostować również, iż zdanie, którym zaczyna się 4-ta szpalta na stronie 8-mej winno brzmieć: Decyduje muzyka, która naprawdę wyrasta z pierwiastka narodowego (a nie: operowego — jak mylnie podano). Ukłony Korektorom.

M. M.

# WNĘTRZE I WYSTAWA

SP. z O. O.

PLAC GRZYBOWSKI 2. • WARSZAWA



Dekoracja jednego ze słupów Hali Ludowej na Wystawie Ziem Odzyskanych we Wrocławiu. W wieńcu liści laurowych mikrofon, paleta malarska i książka. Całość obrazuje KULTURĘ DLA MAS. Emblemat wykonany z lekkiej konstrukcji drewnianej obitej dyktą ma średnicę 8 metrów. Cała dekoracja Hali Ludowej projektu inż. arch. Jana Polińskiego, została wykonana w czasie 9-ciu dni przez firmę „WNĘTRZE I WYSTAWA”

## Czytacie

„S ł o w o  
Powszechnie”

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyński

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81. m. 17, tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30

Druk. Skolimowska 5.

Wydawca Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych

B-53679